

- Skąd się wzięły firmy polonijne? — str. 6
- Kontrola pozorowana — str. 7
- Co dalej z cmentarzem ewangelickim w Pabianicach? — str. 7
- Nieszczęśliwe dzieci wielkich gwiazd filmowych — str. 13

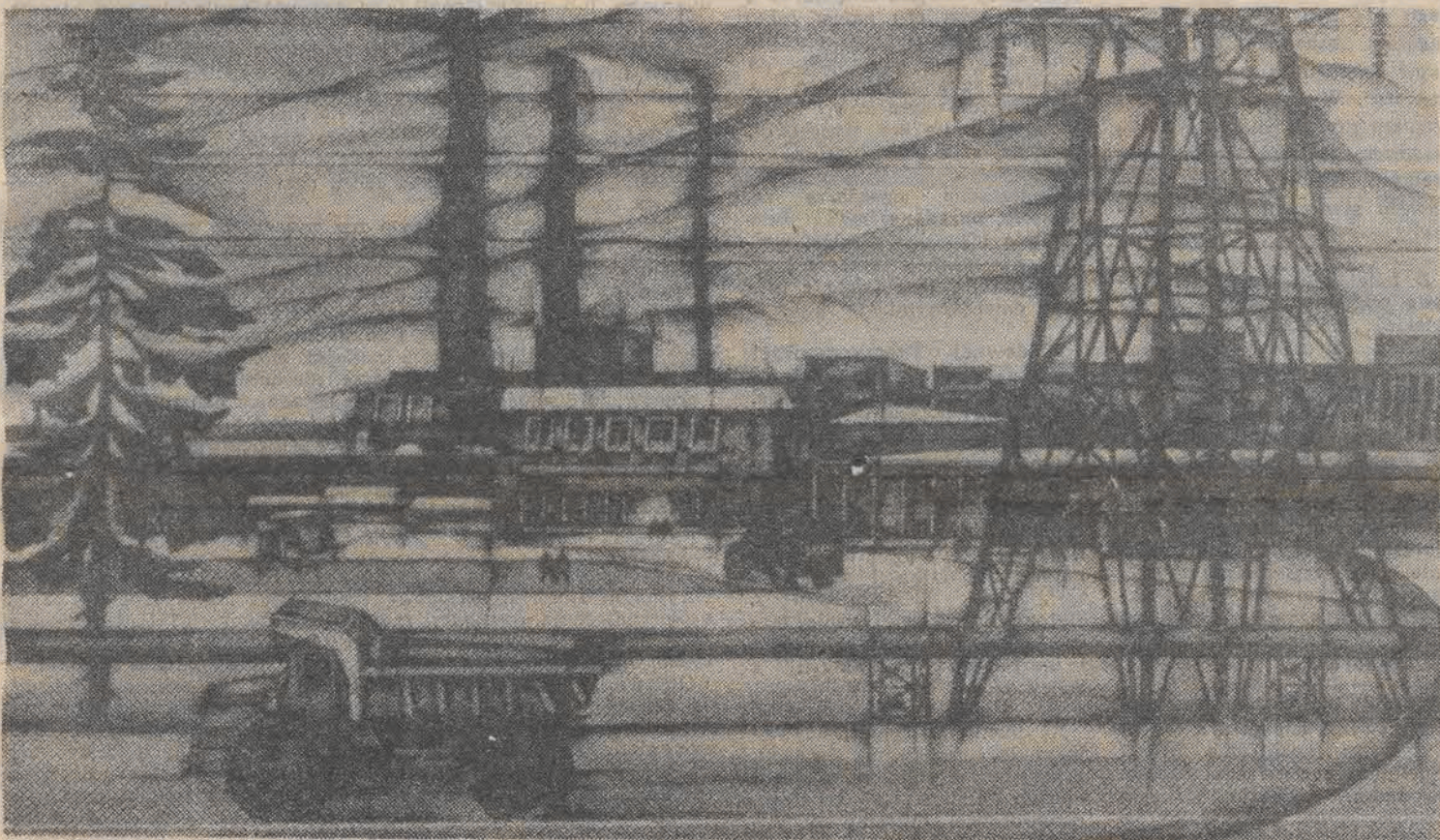


Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 45 (1493) ROK XXIX 8 LISTOPADA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ



Nasz Belchatów

Między niebem a ziemią

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Z wysokości stu czterdziestu metrów wszystko wygląda inaczej — i elektrownia, i pieniądze, i ludzkie życie. Taka perspektywa. Z pola widzenia znikają gdzieś mało ważne szczegóły, a prawdziwą wartość odzyskują znowu takie pojęcia jak: zaufanie, odwaga, obowiązek.

Gdy się stoi na stalowej konstrukcji między niebem a ziemią, człowiek nagle zaczyna dostrzegać swoją wielkość i małość, siła i słabość — jednocześnie. Instynktownie szuka wzrokiem drugiego człowieka. Choć nie myśli o tym, czuje, że to on właśnie jest tam dla niego najpewniejszym punktem oparcia. Bo technika zawsze może zawieść, nawet w najmniej oczekiwanej chwili. I wtedy przychodzi stanąć ze śmiertelnym okiem w oko.

Najwięcej o wypadku na budowie elektrowni wiedzą ci, którzy tam wcale nie było. Znają już dobrze jego przyczyny, przebieg, kulisy. Opowiadają sobie, ile kto na tym zarobił, kto o stracił. Znacząco mniej widzi robotnicy w chłodni na dole, a już zdumiewająco mało — tych szczeni, którzy żywi zeszli z „potain”. Wypytywani, przesłuchiwanii, ważą każde słowo, nie dowierając własnej pamięci, jakby chcieli wymazać z niej śmieć kolegów, chwile grozy, jakie sami przeżyli. Starają się mówić rzeczowo, chłodno, beznamiętnie, ale głos grzebię im w gardle. Zupełnie jak wtedy, gdy byli tam, na górze. Żaden nawet nie kryknął. Dodają: nie było czasu. Teraz czasu mają aż nadto, aby przeżyć wszystko od początku do końca, setny, tysięczny raz.

W poniedziałek, 13 października operator Józef Wrona zaspał i niewiele brakowało, by tego dnia w ogóle nie pokazał się na budowie. Autobus pracowniczy musiał specjalnie na niego dosyć długo czekać. Ale Wrona wiedział, że nie może nie przyjść. Miał przecież zacząć od rana opuszczanie dźwigu. A pogoda zapowiadała się dobra: słońce, bezwietrznie. Wymagane warunki. Poza to wszystko przygotowane już do operacji, sprawdzone. No, i każdy wypoczęty — wiadomo — po niedzieli.

Monter Jakub Kochelski wyjechał z Żaluza jak zwykle dzień po szóstej. O wpół do siódmej był już w Rygodnie. Zamiast jednak prosto do szatni, najpierw poszedł do przychodni. Zapłombował sobie ząb. Pomyślał, że przed śniadaniem i tak i tak nie wyjadą do góry, więc na pewno zdąży. I z kolegami z brygady spotkał się dopiero w stołówce. Dochodziła dziewiąta, ale nie było sprawy. Zjadł szybko i dołączył do nich na placu. Zadania były już wcześniej rozdzielone, lista bhp podpisana. Władzia wiedział dokładnie, co i jak mają robić. Pracowali na „potainie” nie od dziś. Zresztą o czym tu było mówić, najtrudniejszą część pracy — skracanie ramienia dźwigu — mieli już poza sobą. Dalejsze etapy demontażu nie powinny być stanowić problemu. Dla nich — normalne, rutynowe czynności. Nic nadzwyczajnego. Miało być tylko to, że po roku pracy skończyli właśnie płaszczyznę szóstego już chłodni kominowej w elektrowni „Belchatów 2”, ostatecznie, a rozebranie stojącego wewnątrz niej dźwigu francuskiej firmy „Potain” miało być tego przypięczętowaniem.

Około dziesiątej zaczęli wyjeżdżać na górę. Najpierw Józef Wrona i Ryszard Wojciechowski, po nich — Józef Dudek, Kazimierz Grzelak i Jakub Kochelski, na końcu — Edward Szlagowski, Jan Kasprzak i Mieczysław Głąb. Za każdym razem winda docierała do poziomu dziewięćdziesięciu metrów, z którego wyżej musieliby wspiąć się już po drabinie. O czym rozmawiali w ciasnym pudełku windy? Normalnie — o wszystkim i o niczym, jak zawsze się jeszcze tego dnia za powieź chłodni, bo ponad nich nie było wieje. Przyznali mu rację — w piasku cieplej. A skoro tak, to powinni rozmontować i opuścić na ziemię dwa najwyższe segmenty konstrukcji nośnej dźwigu, który obniży się tym samym o dwaście metrów. Ale to było raczej życzenie niż zamierzenie. Jeszcze na dole ustalili, że do fajerańtu zrobią po prostu tyle, ile się da. Najważniejsze, żeby w ogóle ruszyć.

Ruszyli. Gdy piera ośsemka segmentu, stanowiąca na górze, rozkręcił złącza całego dźwigu, już pozwolili słońcu, wybili sworznie, przygotowali bramkę do otwarcia. Górny segment masztu zapięty był w „szelkach”, na których ramie dźwigu miało go opuścić, i teraz za pomocą siłownika należało już tylko podnieść trochę ramię, by segment mógł swobodnie wyleżeć poza bramką. Do pompy podaje olej do siłownika zbliżył się Szlagowski, dotknął palcem przycisku i...

W tym samym czasie, kiedy ziemię młodych ludzi na wysokości stu czterdziestu metrów nad ziemią przystępowało do demontażu dźwigu w chłodni numer 6, czterech innych krzyżowało się u jego stóp. Ich zadaniem było, czterech innych krzyżowało się u jego stóp, a także — odbierać opuszczane elementy konstrukcji. Kontaktowali się ze sobą przez krótkofalówki, którą na dole trzymał Adam Maj. Ani on, ani pozostali nie mieli powodów do niepokoju, czy obaw. Dopisywał im humor, meldunki ze szczytu napływały pomysłowe, operacja przebiegała planowo, bez żadnych zakłóceń, gdy nagle — huk, zwielokrotniony przez echo suchy, metaliczny trząsk. Wszyscy czterej odruchowo podnieśli głowy: CO TAM SIĘ STAŁO? Ale nie zdążyli już powstrzymać. Mózgi zarejestowały tylko odgłos łamania

Karetka nad torami, czyli dlaczego teatr amatorski nie chce mówić?

MAREK KOPROWSKI

1.

26 września 1986 roku, o godz. 17.52, z pełni autobusowej przy ul. Szczecińskiej, ruszył wóz nr 84 na swą normalną trasę. Biała szarfa przywiązana do zewnętrznej lusterki, trzepocząca nerwowo w czasie jazdy ale uchodząca uwadze oczekujących na przystankach pasażerów powracających z pracy do domów, zagonionych, zmęczonych, podenerwowanych, jest jedynym szczegółem różniącym ten autobus od innych. Ale tylko z zewnątrz. W brzuchu autobusu bowiem dzieją się rzeczy zadziwiająco: oto, zdumionych pasażerów wita sympatyczna stewardessa z tycną pełną cukierków, wskazuje wolne miejsca, życzy przyjemnej podróży. Na następnym przystanku wsiada czysty i ochoczo zabiera się do roboty. Kolorowo ubrany młody człowiek rozkłada druk reklamowe: „Zwiedzaj Łódź”, „Mój ręce”, „Strzeż się groźnych chorób” sponsosem gazeciarzy wykrzykując ich treść. Dalej wylądował kelner z tacą. Kolej pepsa i sok pomarańkowy dla spragnionych. Piękna dziewczyna w fufajce i walonkach, czyli w tzw. zestawie dziennym,

prezentuje modę. Wydobywa się z niego śpiżnia, i, jak cebula, odkrywa drugą warstwę, czyli gustowną suknię wieczorową. Tę po chwili zrzuca, by ujawnić pasażerom modny kostium kąpielowy i wspaniałą budowę swego ciała. Od początku jazdy para eleganckich małżonków zanudza stewardessę, czy jada na plac Barlickiego, a gdy dowiadują się, że nie, żądają telefonu, bo sąsiadka twierdziła, że 84 jedzie na ten właśnie plac. Zaplaciła, powiadają, za pierwszą klasę, więc chcą dojechać tam, gdzie chcą. Wsiada następna postać, zabandażowany w całości (jeden wielki opatrunek) człowiek nieodgadnionej pici. Ktoś mówi: „ja go znam, on już trzeci raz ucieka”. Siedzi potem nieruchomo, z ulotką „Zwiedzaj Łódź” w zębach.

Pasażerowie, najpierw zdumieni, potem rozbawieni, włączają się w akcję, dochodzą do wspólnego dialogu z dziwną załogą autobusu, na całego biorą udział w zabawie. Ktoś spytał, czy tak będzie zawsze; pokonany przez przeważające ilości alkoholu kierowca przebudził się i zaczął cukierka, zdegnostowana początkowo paniusia, z zachwytem na twarzy przyciskała do piersi plik ulotek. Nie

wiadomo kiedy, wesół autobus dojechał do celu, do kranówki przy ul. 11 Listopada, na osiedlu Radogoszcz. Tam czekał na wysiadających tłum ludzi, wśród nich puźony i akordeony, malowane hasła i okrzyki — słowem — gorące powitanie. „Podjęty” jegomość otrzymał bukiet kwiatów, wysiadając zatknął je za wycieraczkę autobusu. Kierowca wyglądał przez drzwi szeroko uśmiechnięty.

Tak wyglądała akcja Studenckiego Teatru Ulicznego z Łodzi pt. „Witamy cie, człowieku”. Odbyła się w ramach IX Konfrontacji Teatrów Amatorskich, zorganizowanych w dniach 25-28 września 1986 roku przez DDK Łódź-Bałuty i Towarzystwo Kultury Teatralnej.

2.

Impreza ta, mimo dziewięcioletniego stażu, dopiero w roku ubiegłym wyróżniła się i uścisła w samym środku („w miejscu pajaka”) pajęczyny, gestu utkanej z podobnych spotkań i festiwali amatorskiego ruchu teatralnego w Polsce.

Tak o niej pisał Krzysztof

Głomb na lamach miesięcznika „Scena”:

„Z końcem czerwca, podczas VIII Konfrontacji Teatrów Amatorskich (...) pojawiła się nowa jakość — wspólny projekt sześciu młodych teatrów, ujęty w ramy zbiorowej wypowiedzi — widowisko „Podróże (...) Nowa formuła VIII Konfrontacji Teatrów Amatorskich w Łodzi, obejmująca tworzenie warunków dla wspólnych wypowiedzi teatrów, nieoczekiwanie zaowocowała spektaklem znaczącym. Jednym z najważniejszych bodaj w ruchu młodego teatru lat osiemdziesiątych. Równocześnie jednak uwarunkowała potrzebę kontynuowania działań zespołowych, potrzebę przenoszenia ich do środowisk, z których wywodzą się współtwórcy przedsięwzięcia (...) Kto wie, czy grupowe dyskusje nie pogłębia rozumienia współczesności, nie przyspiesza docierania do wypowiedzi ważnych i — co istotne — skierowanych ku przyszłości? Łódzkie „Podróże” są już dziś na tej drodze znaczącym punktem odniesienia.”

Zdzisław Hejduk, współtwórca ubiegłorocznej kooperacji teatralnej:

10

6

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grazyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemieński, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”; 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 3358. B-2.

Przegląd prasy

Przeciwnicy wprowadzenia religioznawstwa do szkół średnich wysuwali m.in. argument, że brak jest odpowiedniego podręcznika. Zarzut ten stracił już na aktualności. Ukazał się bowiem

NUMER SPECJALNY

kwartalnika Polskiego Towarzystwa Religioznawczego „EUHEMER” (nr 3-4), w którym na 440 stronach znani specjaliści wyjaśniają pojęcie religii oraz przedstawiają główne wierzenia i kultury świata. Dla przykładu: Witold Tyloch pisze o judaizmie, pochodzeniu chrześcijaństwa i ekumenizmie. Mieczysław J. Künstler charakteryzuje konfucjanizm, Gerard Gluchowski — hinduizm, dżinizm i buddyzm, Edward Szymański — islam, Józef Keller ukazuje genezę i rozwój Kościoła katolickiego. Redakcja przeglądu wyraża nadzieję, że podręcznik ten — wydany w nakładzie 5 tys. egzemplarzy — „okaże się przydatny w realizacji programu religioznawstwa w szkółnictwie polskim”.

W ostatnim rozdziale Tadeusz Margul załącza tabele obrazujące liczbę i procenty wyznawców głównych religii w rejonach na kontynencie. Źródłem danych jest dodatek roczny do „Encyclopaedia Britannica Book of the Year” przy hasle „Religion”. W 1980 roku na całym świecie było 968 mln chrześcijan, a w tym: rzymskich katolików — 563 mln, protestantów — 321 mln, prawosławnych — 85 mln. Drugą liczbą religią jest islam, który ma 546 mln wiernych. Na trzecim miejscu znajduje się hinduizm — 471 mln, na czwartym buddyzm — 256 mln, na piątym konfucjanizm — 168 mln. Mniej wyznawców mają sintoizm (56 mln) i judaizm (14 mln). Inni i bezwyznaniowci liczą 1 mld. 693 mln osób.

Do wszelkiej statystyki religijnej należy podchodzić ostrożnie. „Jednostka statystyczna — czytamy — nie zawsze oznacza to samo. Za rzymskiego katolika i prawosławnego uważa się osobę z aktem chrztu, podczas gdy wśród protestantów zdarzają się grupy, które podają tylko ludzi dojrzałych, a nawet jedynie aktywnych członków. Mormoni stoją na granicy chrześcijaństwa, ale tu są do niego wiązani. Muzułmanie teoretycznie stają się nim po publicznym wyznaniu, że «nie ma Boga prócz Allaha, a Muhammad jest jego prorokiem». Trudno jest uchwycić buddystów. W krajach mahajany łączą się oni z wyznawcami konfucjanizmu, taoizmu i sinto”.

W załączniku nr 3 do podręcznika Czytelnicy znajdą bardzo interesujące dane o kościołach i związkach wyznaniowych w Polsce. Pod względem liczby wiernych na czołowych miejscach (za Kościołem rzymskokatolickim) są następujące instytucje wyznaniowe: Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny — 852 tys., Kościół Ewangelicko-Augsburski w PRL — 75 tys., Kościół Polko-Katolicki w PRL — ponad 48 tys., Kościół Starokatolicki Mariawitów w PRL — niemal 25 tys., Zjednoczony Kościół Ewangeliczny — 17 tys., Kościół Adwentystów Dnia Siódmego — ponad 8 tys. osób. Występują również w Polsce kościoły i związki niechrześcijańskie. Najwięcej członków mają Muzułmański Związek Religijny w PRL (3 tys.) oraz Związek Religijny Wyznania Mojżeszowego (1805). A dalej są: Stowarzyszenie Bydżyjskie w PRL — 450 osób, Stowarzyszenie Buddyjskie Karma Kagyu w Polsce — 443, Związek Buddystów Zen „Sangha” w Polsce — 212, Karaimski Związek Religijny w PRL — 200.

Podstawowe informacje na temat poszczególnych grup wyznaniowych w naszym kraju podaje Jerzy F. Godlewski. Z

tego artykułu można się dowiedzieć, że w 1985 roku działało 27 chrześcijańskich oraz 6 niechrześcijańskich kościołów i związków wyznaniowych. W listopadzie 1985 r. najpotężniejszy w Polsce Kościół rzymskokatolicki liczył 91 biskupów (w tym 3 kardynałów), ponad 22 tys. księży (w 1937 r. było 11 394), 8 700 alumnów, 5 200 zakonników i 27 500 zakonnic. Posiada on ponad 14 800 kościołów i kaplic (przed wojną było 12 571), 26 wyższych seminariorów diecezjalnych i 21 zakonnych, oraz 11 seminariorów niższych. Wydaje 113 czasopism o jednorazowym nakładzie 1 950 tys. egzemplarzy.

Jeśli już mowa o czasopismach, to mamy ich, jak wiadomo, bardzo dużo. Niektóre zalegają w kioskach i różnymi sposobami walczą o pozyskanie czytelników. Powstała więc naturalna konkurencja, a w niej zdarzają się przypadki nadmiernego schlebienia złym gustom. Na pewne

ZJAWISKA NEGATYWNE

zwrócił uwagę na łamach biuletynu „KONTRASTÓW” (nr 10) Romuald Karas. Zarzucał on w wielu pismach — a szczególnie tygodnikom wojewódzkim — że ratują się drukiem horoskopów, krzyżówek, opisów morderstw. Podał też przykłady pism mających zwroty sięgające połowy nakładu.

Za nieciekawie redagowane czasopismo uznał „Kulturę”. Jego zdaniem, Klemens Krzyżagórski „zapomniał o tym, że ongiś uchodził za zręcznego redaktora”. W związku z mianowaniem prof. dr hab. Witolda Nawrockiego redaktorem naczelnym „Kultury” autor stanowczo stwierdził: „Będzie lepiej”.

Z felietonem Romualda Karasia podjął polemikę w lubelskiej „KAMENIE” (nr 22) M. A. Jaworski. Pisze on: „Chyłę głowę przed warszawsko-białostockim prorokiem. Magistrowi Karasiowi już sam tytuł (prof. dr hab.) wystarcza za wszelką rekomendację. Ja bym jednak poczekał, co ten Nawrocki pokaże? Może akurat zaprosi do współpracy mgr Karasia? Z góry trudno mi też powiedzieć, czy Krzyżagórski będzie lepszym redaktorem naczelnym niż zmarły ostatnio Jerzy Putrament. Ale Karas już o tym wie...”

A dalej M. A. Jaworski wytknął swemu adwersarzowi, że krytykując bezsilność innych zupełnie nie dostrzegł słabości tygodnika, w którym sam pracuje. „Otoż — czytamy — w ostatnim numerze tego tygodnika (autor taktownie nie wymienia tytułu pisma — E. L.) zauważył nie tylko krzyżówkę (żelazna pozycja), ale także i zajęcia bardzo rozległozobowiązanej dziewczyni z wydatnym biustem i równie wydatnym tyłkiem. Czyżby co wolno wojewozi...? No i gdy mowa o zwrotach poszczególnych gazet i pism, o co tak troszczyć się Karas... W świetle jego tekstu sytuacja jest groteskowa. Właśnie sterty tygodnika, w którym pełni on funkcję członka kolegium redakcyjnego, przede wszystkim piętrzą się w kioskach „Ruch”. Stulecie liczb zwrotów z naszego regionu. Np. (pierwszy z brzegu) numer 33 (z tego roku) trafił do kiosków czterech wschodnich województw w liczbie 1 462 egzemplarzy. Wróciło... 1 303. Pozwól sobie zapytać: jaki to procent, Romualdzie? Czy tylko poitowa? Sądzę, że nawet po pastylce luminalu nie powinienie spać spokojnie. Medico, cura te ipsum!”

Parafrazując znany czerowiersz Stanisława Jachowicza można zatem odpowiedzieć niefortunemu krytykowi następująco:

Cudze ganicie,
Swego nie znacie;
Sami nie wiecie.
Co posiadacie.

W ostatnich numerach czasopism ukazało się wiele materiałów związanych tematycznie ze Świętym Zmarłym. W tygodniku „KULTURA” (nr 44) znajdujemy ciekawy artykuł Leszka Misiała o omentarzach wymagających ochrony. Okazuje się, że mamy takich omentarzy aż około 15—20 tysięcy. Szczególnie

ZDEWASTOWANE SA CMENTARZE

żydowskie, lemkowskie, menonickie, unickie, oraz częściowo ewangelicko-augsburskie. Na wielkim Cmentarzu Żydowskim w Łodzi, gdzie spoczywają m.in. rodzice Artura Rubinsteina i Juliana Tuwima, tylko rusztowania przy mauzoleum fabrykanta Izraela Poznańskiego są śladem bytności żywego człowieka.

Skąd pochodzą środki na konserwację cmentarzy żydowskich na ziemiach polskich? W omawianym artykule czytamy: „Utworzono Fundację Zgromniona Miszenbaum, niemieckiego Żyda, który zaoferował swoją pomoc w odbudowie Żydowskiego Cmentarza Bródnowskiego w Warszawie. Grupa rabinów amerykańskich, działająca pod nazwą Komisja ds. Cmentarzy Żydowskich w Polsce, w porozumieniu z Urzędem ds. Wyznań dotuje remonty niektórych cmentarzy w Polsce. Ogólnie za pieniądze przesyłane z zagranicy pielęgnuje się obecnie około 10 cmentarzy. Konserwator m. st. Warszawy przeznaczył 3 mln zł na prace przy założonym w 1806 roku Cmentarzu Żydowskim przy ulicy Okopowej, który jest jednym z niewielu w Polsce czynnych cmentarzy żydowskich. Komitet otrzymał także 3 mln zł od Polskiego Monopoli Loteryjnego i 800 tys. zł od twórców musicalu „Skrypek na dachu”. Wśród cmentarzy żydowskich wiele to dziś już raczej miejsca cmentarne z kilkunastoma czy nawet tylko kilkoma maccami. Około 30 cmentarzy jest wpisanych do rejestru zabytków. Jeden z najstarszych nagrobków, który zachował się we Wrocławiu, pochodzi aż z 1203 roku.

Opuszczone omentarze są, niestety, okradane bądź bezmyślnie niszczone. Trzeba walczyć nie tylko z czasem i siłami natury, lecz także z hienami omentarnymi.

W dawnej Rzeczypospolitej do najświetniejszych należał wileński omentarz na Rossie. Miejsce to odwiedził niedawno (już po raz trzeci) Marcell Kosman. A wrażenia swoje przedstawił w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM” (nr 44). W centrum Cmentarza Rossa znajduje się ogromny grobowiec i napisem: „Matka i serce syna”. Tutaj 12 maja 1936 r. złożono w srebrnej urnie serce Józefa Piłsudskiego obok trumny jego matki Marii z Billewiczów.

Na omentarzu tym spoczywają m. in. Joachim Lelewel, Władysław Syrkomla, ojciec i ojczym Juliusza Słowackiego, profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego. Osobliwością wileńskiej Rossy są katakumby, czyli wnęki trzy- lub czterokondygnacyjne, zbudowane po obu stronach kaplicy, które po umieszczeniu trumien zamurowano, a na zewnątrz umieszczano tablice z marmuru, żelaza lub blachy.

„Stara Rossa — pisze Marcell Kosman — znajduje opiekunów, jak spotkanego w ów dekadyczny dzień Jena Kotzieza, jednego z młodych wilnian, który doskonale zna każdy tu zakątek, pisuje od czasu do czasu artykuły na ten temat, ale kiedy indziej bierze do ręki kieliszek i ratuje któryś z najbardziej zagrożonych grobowców. W sumie omentarz sprawa wrażenie dostojnego jak zawsze i — trwającego. Nie jest to nekropolia kaplica bogactwem wystroju — jest tu raczej skromnie. Znajdujemy jednak oryginalne groby w postaci drzew naturalnych lub sztucznych, ogładamy nie spotykane gdzie indziej kształty nagrobków. Nowoczesnych niewiele, bo Rossa jest w zasadzie zamknięta”.

O grobach dawnego Wilna pisze M. Kosman również w bydgoskim tygodniku „FAKTY” (nr 44). Podaje tam, że w Związku Radzieckim tworzy się kramatornia jedynie w ośrodkach przekraczających milion ludności. Natomiast omentarze, podobnie jak te najstarsze, z Rossą, tworzy się w promieniu kilku kilometrów poza miastem.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Revolucja i ewolucja

Nie mnie jednego straszono w dzieciństwie rewolucją. Wzrastalem zresztą w epoce, kiedy wszystkie czynniki oficjalne, w tym również szkoła, wychowywały w zasadach poszanowania Państwa, w czym na ogół upatrywano istotę patriotyzmu. Rewolucja zaś, zarówno francuska, jak i bolszewicka były (jak twierdzono) szkodliwe, ponieważ dopuszczały się gwałtu i przemocy, nie cofając się przed niszczeniem i grabieżą, co zawsze prowadzi do osłabienia państwa i zubożenia ludności.

Takie i tym podobne nauki szkolne nie spotykały się, jak sądzę, ze sprzeciwem i przeciwdziałaniem w większości polskich rodzin i nawet w moim szerszym środowisku rodzinnym, reprezentującym sobą wielką rozpiętość poglądów — od faszystowskich przez konserwatywno-klerykalne i liberalno-demokratyczne po ateistyczne i komunistyczne, jakby poza dyskusją pozostawała sanacyjna idea „państwowotwórcza”, mimo iż praworządna propaganda, jej napuszony styl i język mocno wydrwiwano.

Oczywiście, że w środowisku inteligentno-mieszczańskim okazywanie respektu państwu jako takiemu było najłatwiejsze do przyjęcia i bodaj też jedyną platformą wewnętrznego porozumienia, dająca poczucie bezpieczeństwa przed „wywrotowcami”, którzy w pochodzie 1-majowym, wznosząc w górę zaciśnięte pięści, krzyczyli wyzywająco: „Niech żyje republikanska Hiszpania”, a mieli na myśli o wiele więcej.

Nie można się więc dziwić, że wielu ludziom z tamtego pokolenia zbyt trudno było po wojnie pogodzić się z rozbiorem dawnych struktur państwowych i że odczuwali to jako unicestwienie państwowości w ogóle. Bo też, jak dążyć to po wielu doświadczeniach i przemyśleniach rozumiemy, w tej czy innej dziedzinie życia, gospodarczego, społecznego, kulturalnego posunięto się początkowo w demontażu starego ładu dalej niż wymagała tego konieczność, przenosząc nieraz zrywem cudze wzory i raniąc niepotrzebnie ludzkie przyzwyczajenia i sentymenty. I zapewne zaważyło to ujemnie na nastawieniu emocjonalnym wielu ludzi wobec rewolucyjnego procesu czy to u nas, czy gdziekolwiek indziej.

Wydaje mi się jednak, że w polityce samo wytłumaczenie nie jest jeszcze równoznaczne z usprawiedliwieniem. Ludzie mojego pokolenia nieraz doświadczali na własnej skórze, że polityka wystawiała społeczeństwu rachunek z błędnych ocen i decyzji, nie biorąc wcale pod uwagę okoliczności lagodzących — czy to trudnego dzieciństwa politycznego, czy wrodzonej łatwowierności lub uczuciowości, czy też wspaniania się pod strumą górki dla dostrzeżenia politycznych realiów. Historia uczyła nas, że naród, który nie rozumie, na jakim świecie żyje i nie potrafi się na nim korzystnie ustawić (a czyż wspólna korzyść społeczeństwa to nie jest właśnie patriotyzm?), otoż taki naród jest bity nie dlatego, że, jak twierdzi się nieraz, historia jest mściwa i wstrętna. Ma ona po prostu swoje prawa, podobnie jak ma je przyroda i kto naruszy równowagę ekologiczną, musi ponieść ujemne tego skutki i nie ma sensu skarżyć się, że przyroda jest mściwa i wstrętna.

Otoż jestem przekonany (co nie znaczy, że potrafię to „udowodnić”), iż dokonane rewolucje i zapoczątkowane przez nie przeobrażenia są procesami nieodwracalnymi, choć mogą i powinny podlegać modyfikacjom. Stąd też choć „uniemożliwienie” rewolucji przypomina pisanie na wodzie. Ale przecież nie wynika z tego usprawiedliwienie dla permanentnych działań w trybie rewolucyjnym, musi bowiem nadejść moment, od którego te nowe struktury i ich nieokreślone mechanizmy trzeba zmudnić i pracowicie doskonalic, słowem — umacniać państwo.

A to właśnie, jak obserwujemy, jest dla wielu ludzi w naszym kraju najtrudniejsze, najmniej efektywne, nie rokujące szybkich i widocznych skutków, na które można by się powoływać dla pozyskania zwolenników. Jednym łatwiejsze mogą się wydawać próby zniszczenia lub cofnięcia tego co stworzone, innym — poganianie przemian, bez ogładania się, czy dojrzał ich czas.

Czy chciałbym przez to powiedzieć, że moim prywatnym i skromnym zdaniem, najlepszy zawsze jest „złoty środek”, jakaś droga pośrednia pomiędzy rewolucją a ewolucją? Sądzę, że nie w tym rzecz, ale w odróżnieniu sytuacji, kiedy pora na rewolucyjne działania, a kiedy na ewolucyjne doskonalenie systemu.

Oczywiście, ani my, ani pozostali świat nie znajdowalibyśmy się dzisiaj w tym punkcie, na tym szczeblu historii, gdyby nie dokonała się swego czasu Wielka Rewolucja Październikowa, najdonioślejsze wydarzenie dwudziestego wieku. I wcale nie trzeba być komunistą, żeby waga tego epokowego faktu dostrzec i ocenić, wystarczy odrobina zmysłu historycznego, którego niekiedy brakuje nawet ludziom działającym politycznie, o czym przekonywalibyśmy się w ostatnich latach.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

Już niebawem w naszym tygodniku można będzie przeczytać między innymi:

— artykuł WITOLDA KASPERKIEWICZA o radykalnych zmianach w życiu społecznym i gospodarczym Chin;

— reportaż MARKA KOPROWSKIEGO o człowieku, który wykonał 6 tysięcy rysunków i szkiców, a teraz utrzymuje, że możliwość malowania trzymać go przy życiu;

— artykuł WŁODZIMIERZA KUPISA na temat szkolnej dla zdrowia i środowiska działalności zgierskiej „Boruty”;

— reportaż STANISŁAWA JASKIERSKIEGO o sprytnym oszuście, który zarabia miliony, lecz żyje skromnie i odmawia sobie wszystkiego;

— artykuł STANISŁAWA MIKOSIKA o zasadach przyznawania i tegorocznym laureacie Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii;

— reportaż ROMANA KUBIAKA o długowłosych chłopcach z popularnego zespołu Blue Haze, którzy nie widzą świata bez muzyki;

— dalszy ciąg sensacyjnego reportażu ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO z Meksyku.

Uwaga Czytelnicy!

Przypominamy, że już za kilka dni upływa termin prenumeraty.

Wieźni X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej w liście do żony pisał w 1914 roku:

„Pamiętam opowiadania wieczorne w dworcu naszym, kiedy matka przy świetle lampy mówiła o prześladowaniu unitów (...), o tym, jak w kościołach przymuszano do śpiewania suplikacji po rosyjsku, o tym, jakie kontrybucje nakładano na ludność, jakim ulegała ona prześladowaniom. I to zdecydowało, że poszedłem później swoją drogą, że każdy gwalt, o którym słyszałem lub który widziałem, (...) zmuszanie do chodzenia do cerkwi w dni galowe, system szpiegowstwa był jakby gwałtem nade mną samym. I wtedy przysięgam z gromadką innych walczyć z tym złem aż do ostatniego tchu. I miałem już serce i mózg otwarte na niedolę ludzką i nienawiść zła”.

A kiedy siostra Aldona, widząc pogarszający się pod wpływem zesłań i więzień stan jego zdrowia, namawiała go do zaniechania rewolucyjnej działalności, odpowiedział jej z więzienia siedleckiego:

„Nie! Zostanę takim, jakim byłem (...) moja droga wciąż ta sama; jak dawniej nienawidziłem zła, tak i teraz nienawidzę, tak jak dawniej pragnę całą duszą, aby nie było na świecie niesprawiedliwości, przestępstw, pijaństwa, rozpusty, ośzustwa, nadmiernego luksusu, domów publicznych, ucisku, walk bratobójczych, wojen, wrogości narodowej (...). Chciałbym miłością objąć całą ludzkość (...). Po co namawiać mnie do zawrócenia z tej drogi?”.

Gruntownie studiował dzieła Marksa, Engelsa, Plechanowa, Kautskiego, przestudiował wszystkie najważniejsze prace Lenina. Analizował dzieła wybitnych ekonomistów burżuazyjnych, filozofów i historyków.

„W ogóle strasznie wiele przyjdzie mi popracować — napisał do znajomej rewolucjonistki rosyjskiej M. Nikolewej — żeby przyswoić sobie jak należy naukę marksistowską”. Żywo interesował się rozwojem myśli socjalistycznej w Polsce. Nawiązał znajomość z Ludwikiem Krzywickim — pierwszym tłumaczem „Kapitału” na język polski. Poznał też Edwarda Abramowskiego — twórcę Zjednoczenia Robotników Polskich. Żywo interesowały go działalność i poglądy Marcina Kasprzaka.

SWOISTYM UNIwersyTETEM

były dla Feliksa Dzierżyńskiego zesłania i więzienia, w których ani na chwilę nie przestawał być rewolucjonistą i działaczem politycznym.

„W więzieniu dojrzałem — napisał w czasie odbywania szóstego wyroku — w mękach, samotności i tęsknocie za światem, za życiem. Jednakże zaangażowanie w sprawę nigdy nie zajęło mi w oczach”.

Przebywał w więzieniach w Siedlcach, Cytadeli Warszawskiej, Aleksandrowsku, na katorżce w Kągorodzkoje, Nolińsku i Orle.

Feliks Dzierżyński był przede wszystkim rewolucyjnym praktykiem i owa praktyka wywierała zasadniczy wpływ na jego poglądy, postawę patriotyczną i internacjonalistyczną. Był człowiekiem czynu, w którego życiu dominowała praktyczna działalność rewolucyjna, wojskowa lub państwowa. Zrozumienie historycznej roli klasy robotniczej, stałe z nią obcowanie kształtowały u Feliksa Dzierżyńskiego poczucie ideowej, klasowej, internacjonalistycznej wiary oraz dążenie do rewolucyjnego przeobrażenia świata.

W 1900 r. za sprawą Feliksa Dzierżyńskiego doszło do utworzenia Socjaldemokratycznej Partii Królestwa Polskiego i Litwy. W sierpniu 1902 r. wysunął problem, o którego wcielenie w życie konsekwentnie walczył: postulował konieczność ściślejszego powiązania działalności SDKPiL z rozwijającym się rosyjskim ruchem robotniczym, na czele którego stał Lenin. Był jednym z inicjatorów wejścia SDKPiL w skład Socjaldemokratycznej Partii Robotników Rosji (SDPRR).

W 1906 r. na IV Zjeździe SDPRR dokonano organizacyjnego połączenia obu partii. Jedność organizacyjna polskiej i rosyjskiej socjaldemokracji wpłynęła na pogłębienie się ideowości i zbliżenie do kierunku bolszewickiego. Było to wydarzenie o ogromnym znaczeniu historycznym. Na zjeździe tym Feliks Dzierżyński spotkał się z Włodzimierzem Leninem. Od tej pory stał się jego bliskim przyjacielem i współpracownikiem.

Był to okres wewnętrznych rozbieżności w SDKPiL. Zostały one przezwyciężone przy bezpośrednim udziale Feliksa Dzierżyńskiego. Przyczynił się on bowiem walcnie do upowszechnienia leninizmu na gruncie polskiego ruchu robotniczego. Jego też m.in. zasługą jest to, iż SDKPiL stała się pod względem ideowym partią bardzo bliską Leninowi i radykalnemu odłamowi SDPRR — bolszewikom we wszystkich węzłowych problemach walki z cezaratem.

Stanowisko Feliksa Dzierżyńskiego w kwestii narodowej wywodziło się z przesłanki internacjonalizmu oraz troski o zachowanie ścisłego współdziałania proletariatu polskiego i rosyjskiego w przygotowaniu, a także przeprowadzeniu rewolucji socjalistycznej.

SPRAWA NARODOWA

zawsze była jednym z głównych motywów jego aktywności politycznej i społecznej. Jako zwolennik masowego ruchu rewolucyjnego dochodził stopniowo do przekonania, że program wyzwolenia narodowego nie może być zbyt ogólnikowy i odległy. Aby spełniał funkcje mobilizujące szerokie kręgi społeczeństwa, powinien być możliwie konkretny.

Oprócz klasy robotniczej, którą uważał za główną siłę rewolucji, wysuwał sprawę jej sojusznika. Widział go w chłopstwie i dlatego jako jeden z pierwszych polskich rewolucjonis-

tów sformułował ideę sojuszu robotniczo-chłopskiego, stanowiącego bazę rewolucji. Pogląd ten był wynikiem ideowego dojrzewania, teoretycznego rozumowania i kształtował się pod wpływem rewolucyjnej praktyki głównie w SDPRR(b). Stanowił też jeden z wielu przykładów przenoszenia na grunt polski leninowskich poglądów na rewolucję.

Uznając kierowniczą rolę partii marksistowskiej, dostrzegał Feliks Dzierżyński ogromną rolę szerokiego pojmowania sił rewolucyjnych. Był przekonany, że sukces może osiągnąć jedynie ruch masowy. Oprócz znaczenia ruchu strajkowego, którego był gorącym zwolennikiem i przywódcą, upatrywał zwycięstwa rewolucji w powstaniu zbrojnym. Pogląd ten, nie należący na początku XX w. jeszcze do powszechnych wśród działaczy robotniczych, stanowił podstawę jego działalności w rewolucji 1905—1907, a także 1917 r. Na wieść o powstaniu łódzkim wydał odezwę, w której stwierdzał:

„Do walki powstać musi cały kraj, państwo całe, tak jak powstała cała Łódź”.

Był pierwszym polskim rewolucyjnym działaczem, który widział, że oprócz klasy robotniczej i chłopstwa do zwycięstwa rewolucji konieczne jest także wojsko. O pracy wśród żołnierzy w jednym z listów napisał:

„Ja osobiście tej robocie nadaję ogromne znaczenie, wprost kolosalne”.

W marcu 1917 r. Moskiewski Komitet Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich powołał go na stanowisko przewodniczącego Komisji Wojskowej. Czynnie włączył się w tworzenie Gwardii Czerwonej, rozwinął działalność polityczną wśród jednostek wojskowych.

TOMASZ KOWALCZYKOWSKI

Z myślą o nowej Polsce

Był jednym z najbliższych współpracowników Włodzimierza Lenina i jednym z pierwszych, którzy zdecydowanie poparli latem 1917 r. jego stanowisko

O PRZEJĘCIU CAŁEJ WŁADZY W RĘCE RAD

na drodze powstania zbrojnego. Kiedy w październiku 1917 roku przygotowanie i przeprowadzenie powstania zbrojnego stało się najpilniejszym zadaniem partii bolszewików, Feliks Dzierżyński wysunął wniosek, aby całokształtem tych prac kierowało Biuro Polityczne KC SDPRR(b), z Leninem na czele. Wniosek został przyjęty.

Feliks Dzierżyński poparł też wniosek Włodzimierza Lenina o konieczności rozpoczęcia powstania zbrojnego przed zwołaniem II Zjazdu Rad, tj. 7 listopada (25 października) 1917 r. Jego głos miał zasadnicze znaczenie, bowiem wchodził od 22 października w skład specjalnego sztabu wojenno-rewolucyjnego powołanego przez Piotrogrodzką Radę Delegatów — Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego (piotrogrodzki Komitet Wojskowo-Rewolucyjny spełniał rolę ogólnorosyjskiego sztabu powstania zbrojnego), a także pięcioposobowego Ośrodka Partijnego, powołanego 29 października przez plenum KC SDPRR(b) jako partyjne centrum dyspozycyjne dla komitetów wojskowo-rewolucyjnych. Był współautorem decyzji w sprawie doprowadzenia do stanu całkowitej gotowości bojowej armii rewolucyjnej, opanowania przez bolszewików dróg, mostów i węzłów kolejowych prowadzących do stolicy, zorganizowania systemu łączności Ośrodka z wszystkimi komitetami wojskowo-rewolucyjnymi, poszczególnych armii i frontów. Wziął także udział w opracowaniu specjalnego szyfru, za pomocą którego przekazano termin wybuchu powstania do wiadomości wszystkich organizacji partyjnych.

Feliks Dzierżyński jest autorem bądź współautorem m.in. koncepcji partyjnej bolszewickiej organizacji w jednostkach wojskowych, planu masowego przeszkolenia robotników we władaniu bronią, współdziałania dzielnic partyjnych z oddziałami wojskowymi, tworzeniu dzielnicowych, bojowych ośrodków informacji technicznej, sposobów organizacji dyżurów bojowych w ośrodkach centralnych i w terenie. Na uwagę zasługuje bardzo aktywne jego stanowisko w sprawie utworzenia (decyzję podjął Komitet Wojskowo-Rewolucyjny w dn. 21.X.1917 r.), a następnie działania instytucji komisarzy w oddziałach garnizonu piotrogrodzkiego. Komisarze umocnili w armii wpływ Komitetu, usprawnili łączność między robotnikami i żołnierzami, podjęli funkcje kontroli i nadzoru walki z sabotażem ze strony carskiej kadry, rozdzielali broń i żywność. W sumie działalność komisarzy wpływała wydatnie na zdolność bojową oddziałów.

Powstanie zbrojne wybuchło 6 listopada (24 października) przed otwarciem II Zjazdu Rad Delegatów. Sztab powstania zlokalizowano w Smolnym, skąd wydarzeniami kierował bezpośrednio Lenin. Feliks Dzierżyński zapewniał ochronę Smolnego, kierował pracą polityczną w jednostkach wojskowych, a jednocześnie oprowadzał pocztę i telegrafu — dwóch kluczowych obiektów. Współdziałał z nim w realiza-

cji tego trudnego zadania Polacy: J. Leszczyński, St. Pestkowski i inni.

Jego

UDZIAŁ W POWSTANIU ZBROJNYM

był wielostronny. Feliks Dzierżyński z polecenia W. I. Lenina sprawdzał wykonanie rozporządzeń oraz dyrektyw Komitetu Centralnego i Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Przyjmował delegacje Rad Żołnierskich i Robotniczych, omawiał sytuację polityczną i militarną, przedstawiał plany i zamierzenia wojskowe. Ogromną są jego zasługi w walce z głodem i sabotażem. Kierowane przez Feliksa Dzierżyńskiego oddziały czerwonogwardystów przeprowadzały skrupulatne poszukiwania żywności w magazynach, składach kolejowych. Wykryto znaczne zapasy zboża i mąki. Tworzył specjalne oddziały rewolucyjne marynarzy i żołnierzy w celu dokonania rekwizycji zboża u obszarników i spekulantów.

Wieczorem 25 października 1917 r. w Smolnym zebrał się II Zjazd Rad, by obwieścić światu zwycięstwo rewolucji socjalistycznej, a jednocześnie proklamować przejęcie władzy w Rosji przez Radę Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich. Feliks Dzierżyński zasiadł w prezydium Zjazdu.

II Zjazd Rad uchwalił dwa historyczne dokumenty: „Dekret o ziemi”, znoszący prywatną jej własność, i „Dekret o pokoju”, określający generalne kierunki polityki zagranicznej państwa socjalistycznego. W drugim dniu obrad Feliks Dzierżyński jako przedstawiciel SDKPiL słożył oświadczenie, mające walor pierwszego

historycznego dokumentu przyjaźni polsko-radzieckiej:

„Proletariat polski szedł zawsze w jednym szeregu z proletariatem rosyjskim. Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy z entuzjazmem przyjmuje ten dekret”.

Na II Zjeździe Rad powołano do życia rewolucyjny rząd Rosji Radzieckiej — Radę Komisarzy Ludowych z Włodzimierzem Leninem na czele, a także wybrano Ogólnorosyjską Centralną Radę Wykonawczą, w skład której wszedł Feliks Dzierżyński, pozostając jej członkiem do końca życia.

Rada Komisarzy Ludowych powołała Feliksa Dzierżyńskiego w grudniu 1917 r. na przewodniczącego Nadzwyczajnej Komisji do Walki z Kонтrewolucją i Sabotażem (WCZK). Później objął kierownictwo resortu bezpieczeństwa wewnętrznego. Tworzył aparat bezpieczeństwa złożony z ludzi ideowych „o gorących sercach i czystych rękach”. Jego zastępcą W. Mienżyński tak wspomina rolę Dzierżyńskiego:

„Mimo bohaterstwa pracowników Nadzwyczajnej Komisji nigdy nie udało się zorganizować organów bezpieczeństwa, które zna historia pierwszej rewolucji proletariackiej, gdyby Dzierżyński przy wszystkich jego cechach organizatora i komunisty nie był człowiekiem głęboko partyjnym, praworządym i skromnym, dla którego dyktando partii była wszystkim”.

Dzierżyński osobiście opracował i przeprowadził z 11 na 12 kwietnia 1918 r. wielką operację oddziałów czełkistów, ochrony Kremia i oddziałów Armii Czerwonej przeciwko ugrupowaniom anarchistycznym, kонтrewolucjonistom, pospolitym bandytom i przestępcom. W lipcu 1918 r. natomiast rozbił w Moskwie bunt lewicowych eserowców. Odegrał wybitną rolę w zdemaskowaniu i udaremnieniu kонтrewolucyjnych knoawł eserowsko-miensewiewskiego Komitetu Wykonawczego Związku Zawodowego Kolejarzy, w likwidacji monarchistycznych organizacji „Zgromadzenie Rosyjskie”, „Biały Krzyż”, „Wszystko dla Ojczyzny”, „Czarny Punkt” i innych. 1 września 1918 r. przy pomocy m.in. polskich oddziałów rewolucyjnych zlikwidował bunt w Jarosławiu. Brał też aktywny udział w tworzeniu i umacnianiu Armii Czerwonej.

Przy współdziałaniu Feliksa Dzierżyńskiego rozwiązano wiele problemów łączących się bezpośrednio z prowadzeniem działań wojennych

NA FRONTACH WOJNY DOMOWEJ

Brał bezpośredni udział w działaniach na Froncie Wschodnim, gdzie wspólnie z Józefem Stalinem na polecenie KC partii badał przyczyny niepowodzeń 3 armii. Sformułowane wówczas wnioski (początek roku 1919) dotyczące systemu rekrutacji, tworzenia aparatu politycznego, pracy dowództw i sztabów, zasad i sposobu prowadzenia działań wojennych, sposobu zaopatrywania wojsk walczących na froncie stanowią jego osobisty wkład w powstanie i rozwój radzieckiej sztuki wojennej.

W lipcu 1919 r. został przewodniczącym Komitetu Obrony Moskwy i przewodniczącym Rady Wojskowej Ochrony Wewnętrznej. Współz z Komitetem Partyjnym Moskwy zajmował się bezpośrednio organizacją obrony stolicy, for-

mowaniem oddziałów partyzanckich, oddziałów specjalnych Kawaleryjskiego Pułku Komunistycznego, drużyn robotniczych. Podległe mu oddziały wojsk wewnętrznych wzięły udział w rozbięciu kонтrewolucji Denikina na południu i w Ukrainie na północy. W styczniu 1920 r. za zasługi w obronie władzy radzieckiej Feliks Dzierżyński został odznaczony Orderem Czerwonego Sztandaru. Po raz drugi przewodniczącym Komitetu Obrony Moskwy mianowano go jesienią 1920 r. w obliczu narastającego niebezpieczeństwa buntu kонтrewolucyjnego.

W 1920 r. Dzierżyński został skierowany przez KC partii i rząd na Ukrainę dla ochrony tyłów Frontu Południowo-Zachodniego. Czasowo został zwolniony ze stanowiska przewodniczącego Nadzwyczajnej Komisji. Olbrzymi wysiłek Dzierżyńskiego i wojsk wewnętrznych zapewnił Armii Czerwonej bezpieczeństwo na tyłach. Miało to dla prowadzenia wojny znaczenie zasadnicze.

W lipcu 1920 r. KC RKP(b) odwołał Feliksa Dzierżyńskiego z Ukrainy, przesyłając go na Front Zachodni. Wraz z J. Unsichtem wszedł w skład Rady Wojennej Frontu Zachodniego, a w kilka dni później został przewodniczącym Polskiego Biura KC RKP(b), które tworzyło polskie komitety rewolucyjne, stanowiące załączek władzy robotniczo-chłopskiej. 30 lipca tegoż roku powstał w Białymstoku Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. Objął w nim kierownictwo sprawami wojskowymi, bezpieczeństwem, wywiadem i kонтrowywiadem. Szczególną jego troską było zorganizowanie Polskiej Armii Czerwonej. W tej sprawie pisał do Lenina:

„Uważamy za sprawę szczególnie ważną zorganizowanie Polskiej Armii Czerwonej. Mamy nadzieję, że przy umiejętnej organizacji stworzymy szybko armię proletariacką”.

Przystąpił do formowania pierwszego polskiego pułku ochotniczego w Białymstoku i polskiego rezerwowego pułku w Bobrujsku. Utworzył także pierwsze ogniwa organów bezpieczeństwa.

W kwietniu 1921 r. powierzono Feliksowi Dzierżyńskiemu nowe odpowiedzialne stanowisko ludowego komisarza komunikacji. W niesłychanie ciężkich warunkach owego okresu, kiedy materialna i techniczna

BAZA TRANSPORTU BYŁA ZRUJNOWANA

aparatu transportu był jeszcze w znacznej mierze w rękach resztek elementów biurokratycznych i nierzadko kонтrewolucyjnych, rozpoczął pracę nad odbudową kolejnictwa i transportu radzieckiego. Ogólnorosyjska Konferencja Partyjna, oceniając w styczniu 1924 r. trzyletnią pracę Feliksa Dzierżyńskiego w dziedzinie komunikacji, stwierdziła:

„Transport znajduje się w takim stanie, iż może bez szczególnych trudności zaspokoić wszystkie wymagania gospodarki narodowej”.

Stale kontakty z masami uważał Feliks Dzierżyński za główną zasadę pracy każdego działacza politycznego i państwowego:

„Jeśli działacz gospodarki nie zna mas, nie potrafi wejść z nimi w stałą i żywą łączność, to nie może być ani dobrym członkiem partii, ani dobrym działaczem gospodarczym. (...) Pracownicy gospodarczy powinni wiedzieć, że żadne środki, że żadna poważniejsza sprawa nie może dać pożądanego rezultatu, o ile jej nie rozumie klasa robotnicza. (...) Nasi działacze gospodarczy nie powinni ani na chwilę zapominać, że są wykonawcami dyrektyw klasy robotniczej”.

Na połączonym plenum Centralnej Komisji Kontroli i Komitetu Centralnego WKP(b) 20 lipca 1926 r. wygłosił ostatnie w swym życiu przemówienie. Skierowane ono było przeciwko opozycji Trockiego, Kamieniewa, Piatakowa i innych, którzy forsowali rozwój przemysłu bez uwzględnienia rolnictwa i całej ekonomii kraju. Przemówienie to, podobnie jak poprzednie, nacechowane było optymizmem i niewzruszoną wiarą w ostateczne zwycięstwo socjalizmu. Stanowiło odbicie całego jego postępowania, nieustannej walki ze złem i trudnościami, o lepsze jutro. Zaledwie w kilka godzin po tym przemówieniu Feliks Dzierżyński zmarł.

W dniu jego śmierci plenum KC i Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej ogłosiło odezwę:

„Do wszystkich członków Partii, do wszystkich ludzi pracy. Do Armii Czerwonej Floty”.

„Zbliżał spotkał partię nowy ciężki cios. Zmarł nagle na atak serca towarzysz Dzierżyński, postrach burżuazji, wierny rycerz proletariacki, niestrudzony budowniczy naszego przemysłu i niestrudzony żołnierz wielkich bojów”.

Komitet Centralny Komunistycznej Partii Polski, oddając hołd jednemu z najwybitniejszych przywódców polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, w specjalnej odezwie pisał:

„Na posterunku bojowym spłonął nieugięty chorąży rewolucji proletariackiej, jej stalowy miecz karzący klasowych wrogów proletariatu i budowniczy zrębów społeczeństwa socjalistycznego. Po trzydziestu z górą latach ofiarnej i niezmordowanej pracy dla partii, którą budował od kamienia węgielnego, od nielegalnych kół robotniczych, od prymitywnej techniki podziemia, zszedł do mogiły jeden z głównych budowniczych pierwszego państwa zwycięskiej rewolucji robotniczej, człowiek najwyższych instancji kierowniczych milionowej partii Lenina”.

Feliks Dzierżyński wszedł na trwałe do najnowszych dzieł Polski jako wybitny działacz i ideolog polskiego rewolucyjnego ruchu robotniczego.

Sto tysięcy złotych dalał dla szpitala, jak tylko skończyła się budowa. Przyjechał do doktora Kuzkowskiego, widząc — przejęty człowiek, stara się, pilnuje, zajął. No, jak nie pomóc? I szpital tak potrzebny. Długo kobiety czekały, więc jak nie dołożyć od siebie? Potem jeszcze zakupiłam dla szpitalnej kuchni komplet garnków, naczyń, sztućców. I oprawiłam pięćdziesiąt dwa tomy najpiękniejszych ksiąg z mojej biblioteki. Pięknie wyglądają w granatowym płótnie ze złotymi literami. Będzie na poczekaniu szpitalnej biblioteki dla chorych. O, tu jest piękne podziękowanie od dyrekcji szpitala i pokwitowanie z banku, że wpłynęło te sto tysięcy.

Daty w teczkę sięgają początku lat pięćdziesiątych. Dyplomy z podziękowaniami za zasługi w pracy społecznej. Na przykład w listopadzie 1952 roku FJN dziękuje za aktywną pomoc w pracach społecznych. A potem już ciągnie się jedno za drugim. Podziękowanie za odzież ofiarowaną dla Komitetu Pomocy Społecznej i za wpłaty gotówkowe na rzecz Klubu Seniora i dla Ligii Kobiet i jeszcze od PCK podziękowanie. I jeszcze od TPD list dziękujący za wpłaty gotówkowe 9 i 12 tysięcy i ubranka dla dzieci. Dyplomy, listy, oficjalne, na firmowym papierze i takie odręczne, zwyczajne, dziękujące za pomoc potrzebną, za zrozumienie, za nieobojętność.

Starannie ułożone według dat pokwitowania czynionych wpłat, korespondencja w sprawie kolejnych darowizn. Teczka jest gruba. I sprawia pani Marii największą przyjemność. To jej największy skarb, tak mówi. Świadczy, że nie trzeba żałować ani wstydzić się życia. Długiego życia, bo pani Maria ma 75 lat.

— Nie wiem skąd się to bierze. Może się człowiek taki rodzi, a może tak wychowuje go rodzinną dom? Może trzeba w życiu mieć twarzą, żeby umieć dawać? Albo tylko wystarczy widzieć ludzi obok siebie. Nie robić z siebie samego początku i końca wszystkiego?

To matka nas, dzieci, uczyła, że ludziom trzeba pomagać, widzieć ich sprawy, pomóc potrzebującym. Ciężko było czasem, ale matka nigdy nie odmówiła pomocy biedniejszym, bezradniejszym. A nasz dom Wętkowskich, w Aleksandrowie Kujawskim zawsze dawał oparcie nam i innym ludziom. W 1911 roku się urodziłam, a to czego matka uczyła idzie za mną przez całe życie.

Jak to się dziwnie układa. Do wojny moje życie było takie zwyczajne, nie specjalnego. Szkoła, praca. Z pracą miałam kłopoty przez całe życie. Z powodu oczu. Słabe były od dzieciństwa. Lekarze na rentę inwalidzką mnie wystawili, a tu trzeba się utrzymać.

Przed samą wojną, jakoś tak urosną trzydziestego dziewiętego poznałam mego pierwszego męża. Miałam dwadzieścia osiem lat. To był adwokat ze Stanisławowa, Zawistowski. Bardzo porządny, kulturalny człowiek, dużo starszy ode mnie. Niedługo się znaleźliśmy przed ślubem, zresztą wojna wybuchła, pobraliśmy się w lutym 1940 roku. Zamieszkał w Stanisławowie. I tam przeżyliśmy całą wojnę, do czterdziestego piątego, do repatriacji. Po wojnie osiedliśmy w Opatowie. I znowu było zaczynanie od początku, bez niczego. Przed wojną bieda w domu rodziców. We wojnę strach, po wojnie od nowa bieda. Do roboty i do nędzy w życiu zawsze miałam szczęście. Robota zawsze mi się trafiła najciekawsza, nędza najgorsza.

Może do mężów miałam więcej szczęścia. Trzech ich miałam. Każdego poznałam przypadkiem, zupełnie nieromantycznie.

Zawistowskiego poznałam w Warszawie, w pracy. To był dobry człowiek. Przeczyłam z nim 11 lat. Takich nietrywających. Zostaliśmy w zgodzie, bez złota, w 1931 roku. Bo wtedy poznałam swego drugiego męża. U znajomych na imieninach Zawistowski rozumiał mnie, a Werner nie czekał. Nie minęły dwa miesiące i byliśmy małżeństwem. Wyjechaliśmy do Gliwic.

Mieszkałam na strychu, bez wygód, urodziła się córka, mąż zarabiał niewiele, a ja nie mogłam pracować przez te oczy. Przyjęłam pracę chatupniczą, szylałam ubranka dla dzieci. Cz-

ty dom zmienił się w pracownię krawiecką. Krojenie, szycie, dźwiganie waliz z gotową robotą i z materiałami. Z tych lat pamiętam, że mdlały mi ręce od nożyczek, od dźwigania. Już wtedy wpłacałam nieduże sumy, na ile mogłam, dla TPD, dla seniorów, dla PCK. Nam było ciężko, ale innym było jeszcze trudniej. Znajomych mieliśmy sporo. Ale nie znam żadnego, który datby chociaż groził dla biedniejszych. Zawsze narzekali, że im ciężko, że nie mają, nie mogą sobie pozwolić. Oni uważali, że to im należy się więcej.

CZŁOWIEK MUSI WIDZIEĆ INNYCH

bo inaczej, co jest warte jego życia? Co z niego zostanie? Ludzie mówią, że ich praca będzie dla dzieci. Im będzie lepiej, łatwiej. I wyrastają młodzi i uważają, że świat istnieje po to, żeby oni mieli. Ze im się należy. Oni nie muszą dać. Zresztą nie umieją, bo kto ich miał nauczyć? I pukali się w czoło, kiedy ja po nocach szylałam komplectki dziecięce dla PCK, w darze.

Dłonie ma pani Maria starannie wypielęgnowane. Dyskretny lakier na paznokciach. Ale spośród tej pielęgnacji widać wężły zgrubiałych żył, skrzywienia stawów. Takich rąk się nie ma kiedy człowiek umie tylko wyciągać rękę, żeby mu dać. Takie ręce znają pracę.

Przez trzydzieści lat, z czego dziesięć blisko spędzonych nad maszyną do szycia, powoli dorabiała się mebli, urządzeń w mieszkaniu, córka idzie do szkoły. Jest lepiej. Mozolne wspinanie się znacząca dziękczynne listy z rozmaitych instytucji. Za daty rzeczowe, pieniężne, za serce. Nie tylko dla potrzebujących w kraju. Płyną złotówki z Gliwic dla ofiar kataklizmów na całym świecie. Bo trzeba przecież pomóc, prawda? Nie ma się nad czym zastanawiać.

Znajomi opierają się, przybysza samochodów, wygod, pieniędzy. Ale dalej się pukają w czoło, kiedy pani Maria wysyła kolejną paczkę czy przekaz.

W 1961 roku umiera mąż pani Marii. Zostaje sama z córką, z marną rentą po mężu.

— Wyprzedawałam wszystko, co było cenniejsze. Czasem już nie dawałam rady. Nie starczyło na mleko. A przecież córka musiała mieć. Jak ja wtedy miałam ciężko, jak brakowało mi sił. Nigdy nikt spośród znajomych nie zapytał, czy mi nie potrzebna pomoc. Nikogo nie obchodziło, że z domu znikają już meble. Ludzie mają serce dla siebie. Dla innych już im nie starczy. Zresztą mówili, że im niełatwo, że biednym niech pomaga państwo, bo od tego jest. A oni pracują dla siebie i dla swoich dzieci. Nigdy nikt nie dał mi złotówki, a ja nie potrafiłam poprosić. Moje znajome kupowały kolejne pierścionki, jeździły własnymi samochodami. I wciąż im było za ciężko, żeby zobaczyć kogoś siebie innego człowieka.

W sześćdziesiątym ósmym przychodzi list z podziękowaniem z PKPS, za odzież przekazaną podopiecznym. A w rok później — list z PCK z Warszawy i pokwitowanie za 1154 złote, przekazane przez panią Marię na rzecz ofiar powodzi w Peru. 1154 złote to była cała renta po mężu. Ale tam ludzie stracili przecież wszystko co mieli.

Pani Maria ma śmiejąc się oczy otoczone wianuszkami kurzych łapek. Starannie uczesane włosy, wyprostowana sylwetka, tryskająca radością twarz. Mowy nie ma o siedemdziesięciu pięciu latach. Wykluczone. Pani Maria może powiedzieć, jak Zsa-Zsa Gabor, że nie wie jak się czuje stara kobieta, ma przecież dopiero 75 lat.

W nowym szpitalu w Gliwicach każde jej pojawienie się wywołuje poruszenie. Witana jak królowa, natychmiast wywołuje śmiech, żarliwy, serdeczny. Ludzie tają przy niej. W szpitalu mówią o pani Marii, że jest ciepła jak piec, nie można być przy niej skwaszonym. Trzeba się uśmiechnąć. A pani Maria często tu zagląda. Dopytuje się o potrzeby szpitala, jak własne dzieci traktuje o ważnych panów doktorów i

wciąż ma całą furę nowych projektów i planów.

W 1966 roku pani Maria

ZOBACZYŁA AMERYKĘ

Pojechała z wizytą do szwagierki, siostry męża. Przez trzy miesiące poznawała nowy świat,

im znajomym. Przychodził po pożyczki, próbowali wyludzić. Oni mieli tak mało.

— Nigdy nie prosiłam nikogo o wsparcie, nawet gdy było nam najciężiej. I nikt nie zaoferował pomocy. Nie mam do nich żalu, nie mam żadnych pretensji. Nigdy nie chcę od nikogo. Tylko czasem, kiedy mi już tak zardroszcza, tak liczą moje pienią-

JOLANTA WRÓŃSKA

Pani Maria



całkiem inny niż ten, w którym rola. Tam nikt nikomu niczego nie daje za darmo. Poradź sobie sam. Dasz radę — jesteś „smart”. Poszedłeś na dno — twoja sprawa. Nikt nie weźmie na siebie odpowiedzialności za twoje życie. I uśmiechaj się. Wtedy, kiedy się dopiero drapiasz do góry — żeby widzieć, jaki jesteś dzielny, żeby pomóc swej szanśie. I nie skarz się. Nikt tego nie chce słuchać. Każdy ma swoje własne kłopoty. Po co mu twoje. Uśmiechaj się też wtedy, kiedy się nie wiesz — pokaz innym, że nie jest z tobą aż tak źle. I uśmiechaj się wtedy, kiedy jesteś na wozie, żeby inni widzieli, jak świetnie dajesz sobie radę, żeby podziwiać dobrą passę, żeby miano cię za fartownego. Tylko takimi móżna zaproponować spółkę, z takim robi się interesy, takim się pożyczyci pieniądze. Przegrani się nie liczą.

Ameryka jest twarda, nie cacka się. I zawsze jest „keep smiling”. Więc pani Maria postanowiła się zmierzyć. Dwa lata po śmierci męża w 1966 roku pojechała do Stanów pracować. Kiedyś przecież musi dać szansę i swojemu szczęściu. Półtora roku sprzątała domy prywatne, pilnowała dzieci, gotowała, ciułała. Kiedy wróciła w 68, znajomi zazdrościli jej zarobionych dolarów. Klucy w oczy zagraniczne cluchy. Im przecież wciąż było ciężko. A pani Maria miała już pieniądze, więc powinna pomóc swo-

dzie, pytam ich czy pamiętają jak mnie było ciężko? Czy kiedyś dali choćby sto złotych na PCK, albo dla najbardziej potrzebujących, albo dla sierot? I po co im wypominać, że ja też nie miałam wiele, a dzieliłam się.

Ludzie, którzy nikomu nigdy nie dali są strasznie ubodzy, nie przeżyją życia naprawdę. Łapią do siebie, zagarniają ślepi na wszystko wokół. I najgłośniej narzekają. A człowiek musi mieć w sobie pełną spichrzę, żeby mógł się podzielić z innymi i żeby jemu nie zabrakło w czas przednowka. Kiedy zdarzyło się ta wielka powódź pod Piocikiem w zimie 81—82 roku z gliwickiego PCK poszedł przekaz pieniężny ze składki dla ofiar powodzi. Było tego wszystkiego 12 tysięcy, z tego dziesięć tysięcy ode mnie. Tylko dwa tysiące dali inni. Ci biedni, z samochodami. Ci sami potem sterczeli w kościołach i wyciągali ręce po dary z zagranicznych paczek i transportów. Panie w kożuchach, w pierścionkach złotych na palcach stały w kolejkach przed staruszkami samotnymi i chorymi.

W Ameryce nauczyłam się jednego. Tylko ludzie bardzo chorzy, inwalidzi, starzy nie mogą sobie sami dać rady. Im trzeba pomagać. Reszta ma dwie ręce do pracy. Dlatego nigdy nie dam ani złotówki nikomu, kto przychodzi mnie prosić, bo jemu ciężko. Nie dam pojedynczemu człowiekowi. Zawsze sam pieniądze, żywność,

odzież dla instytucji zajmujących się opieką społeczną. Instytucja robi to z urzędu, za to opłacają jej pracowników. Ale jeśli ktoś przychodzi, mówi, że nie daje sobie rady i chce trochę dolarów? Tyle było już naciągaczy, nawet pare razy były próby kradzieży w mieszkaniu. Moje wypierścikonkowane znajome znowu pukają się w czoło. Jak kiedyś, kiedy miałam mało, śmiały się, że sama ledwo daję radę a jeszcze się szastam, choć państwo jest od tego. Teraz śmieją się ze mnie, bo mam dużo i wciąż daję. Wariatka jestem, mówią, i kręcą kółka na czołach, bo przecież nie po to się ma pieniądze, żeby innym dawać. Ma się dla siebie.

W 1970 roku jesienią, pani Maria znowu jedzie do USA. A raczej płynie Ostatnim, poźegnalnym rejsem starego „Bat-torego”. Dopiero w Montrealu, tuż przed zejściem ze statku, poznaje pani Maria Bronisławę Kaimą. Znowu, jak już dwa razy w życiu, pojawia się człowiek, który nie chce długiego czekać. Szast prast i w grudniu 70 roku pani Maria zostaje żoną Bronisława. Osiedla w USA w West New York w stanie New Jersey.

Pani Bronisław był postacią niezwykłą. Od maja 1939 roku przebywał w Stanach. Przez trzydzieści lat był marynarzem pod obcymi banderami. Najpierw przez 18 lat pływał na statkach szwedzkich, a potem przez 12 lat — pod banderą amerykańską. Z całego świata zwoził pamiątki, cenne przedmioty. Kolekcjonował monety i banknoty z każdego kraju, gdzie zawiał. Interesował się przez całe życie Polską, zresztą — najlepszy dowód, że żonę znalazł Polkę.

Pani Maria co roku odwiedza kraj i w czasie jednego z takich krótkich pobytów, złożona cierpieniem po wypadku, z pokaleczonymi nogami uwięziona w łóżku, dostaje wiadomość, że pan Bronisław zmarł na zawał serca. Po ośmiu latach spokojnego życia, znowu przychodzi nieszczęście.

Przyjeżdża do Stanów. Znowu jest sama. Ale zostaje Jej pasja życia wśród ludzi.

W 1978 roku przekazuje do kraju w darze niektóre cenne zbiory swego zmarłego męża. Między innymi zbiór niezwykłych przeżyci, płon podróży po całym świecie, 1800 sztuk trafia do Klubu Sześciu Kontynentów Telewizji Polskiej. W lipcu 79 roku pani Maria jest gościem Ryszarda Badowskiego w Klubie. Bierze udział w programie telewizyjnym, zatytułowanym „Testament Marynarza”, poświęconym pamięci Jej zmarłego męża oraz dziejom Jego pasji kolekcjonerskich. Pani Maria staje się realizatorką niepisanego testamentu męża emocjonalnie bardzo związanego z Polską.

W tym samym 1979 roku na ręce kapitana m/s „Stefan Batory” przekazuje pani Maria bezcenną aparaturę radiofoniczną, kolekcję płyt gramofonowych oraz wspaniałą księgozbiór swego męża. Statek, tak wspaniale obdarowany fetużkami panią Marię wielkim przyjęciem, i wytwornym listem dziękczynnym.

W tym samym roku jeszcze Muzeum Narodowe w Warszawie otrzyma zbiór tkanin dekoracyjnych i chińskich rzeźb, za które podziękuje pięknym listem profesor Stanisław Lorenz. A do wrocławskiego Muzeum Narodowego do Gabinetu Numizmatyczno-Sfragistycznego trafi unikalna kolekcja monet i banknotów z 55 krajów świata. Zbiór zawiera 563 monet z miedzi, brązu, mosiądzu, niklu, aluminium, srebra i złota oraz 114 banknotów. Najstarsze egzemplarze pochodzą z 1898 roku, najnowsze z 1970. Oczarowane darem Muzeum Numizmatyczne w osobach dyrektora Leszka Itmana i pani kustosz Janiny Smackiej podejmuje w listopadzie 1979 roku panią Marię na otwarcie wystawy darów Uhoonorowana okolicznościowym Medalem 30-lecia Muzeum Na-

rodowego we Wrocławiu otrzymuje też Pani Maria list dziękczynny.

RZĘKA DARÓW ZACZYNA PŁYNAĆ

nieprzerwanie. Jeszcze w październiku 1979 roku napływa z West New York 200 dolarów na konto odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie i szereg przedmiotów artystycznych rękodzieła. Profesor Gieysztor osobiście podpisuje zaproszenie dla Pani Marii na uroczystość otwarcia Zamku.

W styczniu 1981 roku na konto Centrum Zdrowia Dziecka wpływa 100 dolarów. Tego samego roku wysyła swe serdeczne podziękowanie Sekretariat Prymasa Polski za ofiarowanie 590 dolarów na rzecz budowy nowego kościoła w Gliwicach. I jeszcze zbiorek 26 szklanych figurek przedstawiających zwierzątka dla dzieci ze szpitala w Zalesiu.

I seria darowizn pieniężnych dla powoźnian, dla TPD i PCK i dla Ligii Kobiet. Puchynie też pani Marii. Świądectwo życia.

Właśnie wtedy, w 1981 roku, kiedy tylu ludzi ogarnął strach i zwątpienie, pani Maria postanawia powrócić na stałe do Polski. Towarzyszą Jej decyzji zdumione spojrzenia i znowu, jak już tyle razy, kółka kręczone na czoło.

Ale pani Maria swoje wie. Ameryka jest dla młodych, silnych, wykształconych i bez skrupułów. To nie jest kraj dla ludzi, którzy chcą i leć siaszdów, wpaść na płoteczki wieczorne, być blisko ludzi. Ameryka jest zimna. Pani Maria cieszy się, że Jej jedyna córka wychodzi za mąż za Amerykanina i osiedla w Reno w stanie Nevada. Jest laborantką w szpitalu. To jest kraj dla niej. A dla pani Marii jest Polska i stare mieszkanko na mansardzie w Gliwicach.

Bez przerwy aktywna, wiesznie uśmiechnięta, nie musi nikomu niczego tłumaczyć. Jest tu, bo tu chce być. I ale obchodzi jej śmiech i mali ludzie dławący się własnym sadłem, narzekający, że mają mało i że im ciężko. Patrzą na panią Marię zazdrośnie, liczą w myśl jej pieniądze i mają za wariatkę, która zamiast ohrastać tłuszczem jak oni, przeżyje się no wo budowanym szpitalem, znowu wysyła jakieś przekazy dla Klubu Seniora. Znowu przysyła list z podziękowaniami od Komitetu Budowy Centrum Zdrowia Matki Polki i bankowe potwierdzenie, że wpłynęło 500 dolarów. I jeszcze od Komitetu Pomocy Ofiarom Trzęsienia Ziemi w Meksyku, za 100 tysięcy złotych wysłanych natychmiast po ogłoszeniu apelu.

A znajome kiwają głowami, no tak, ona ma, to może dawać, my jesteśmy biedni, my nie mamy renty w dolarach. I wciąż nie chcą pamiętać, że pani Maria dawała ludziom co miała także wtedy, gdy nie miała wiele. Może dlatego właśnie pani Maria nie wygląda na swoje lata? Może dlatego ma ciągle młode uśmiechnięte oczy? A jej znajome kisaną w świecie w fotelach przed kolorowymi telewizorami i są coraz starsze? I wciąż nie rozumieją? I przegapiły swoje życie?

A pani Maria może być przykładem babci o jakiej marzą nastolatki. Pełna werwy, nieustającego apetytu na życie, właśnie niedługo zostanie prawdziwą babcią. Późno urodziła swą córkę i późno doczekała pierwszego wnuka. Ale czy to ważne kiedy się zostaje babcią? Ważne jaką się babcią jest. W swoim mieszkaniu na mansardzie, otoczona pamiątkami barwnego życia, ma pani Maria swego małego puchatego piesia i całe mnóstwo planów na przyszłość.

Między niebem a ziemią

ze str. 1

cej się stali i obraz czegoś lecącego z góry. W ułamek sekundy później mięśnie otrzymały przez włókna nerwowe rozkaz ucieczki. Rzucili się biegiem poza obręb zagrożonej strefy. Gdy się zatrzymali, było już po wszystkim. Wtedy znów włączyła się świadomość. „Elektryk!”, ktoś wołał: „elektryk!”. Zrozumieli natychmiast i Stanisław Czaja pognął z powrotem w stronę dźwigu odciać zasilanie. Wracając do kolegów krzychał, że ktoś leży na betonie. Potem zdyszany dodał, że widział jedno ciało, ale czy jedyne — nie wie, bo jest także krew.

Serca waliły im jak młoty. Beładnie jeszcze do głów cisnęły się różne myśli: wypadek, spadek, ilu? Nie monitorowali, że mają kłopoty. Co z nimi? Czy żyją? A jak zaraz cały „potain” się rozszypie? Ranni? Dlaczego? Co się wydarzyło? Adam Maj próbował nawiązać łączność z kolegami na dźwigu. Niczego się nie dowiedział. Eugeniusz Mońka podbiegł do ludzi z innej brygady, prosząc, aby wezwali szybko pogotowie. Na okolicznych stanowiskach przerwano pracę, zrobiło się zamieszanie. Tymczasem na drabince u szczytu ażurowego masztu pojawiły się sylwetki schodzących. Stojący na dole liczyli z niepokojem: pierwszy, drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty. Koniec. Było ośmiu, więc dwóch... Nie, nie mieli jeszcze pewności, czy obaj zginęli. Jeden spadł i nie mógł tego przeżyć, to niewątpliwe. Ale drugi?...

Dopiero Kochelski, który zszedł na ziemię na końcu, powiedział, że na górze został przyniesiony Józef Wrona i nie daje żadnych znaków życia. Niewiele więcej można było z niego wyciągnąć. Był w silnym szoku i jak pozostali od razu dostał się pod opiekę przybyłych właśnie lekarzy z pogotowia przemysłowego w Rogowcu.

Od momentu wypadku minęło nie więcej niż piętnaście minut. Jedni mówią: zaledwie kwadrans. Dla innych jednak było to aż dziesięć sekund. Jakże przeżył, taki punkt widzenia.

Zawiodła technika — przypuszczają w Rogowcu. Prawdopodobnie awaria pompy przy siłowniku hydraulicznym. Kiedy Szlągowski uruchomił ją, trysnął na niego olej, wszystko poszło minimalnie do góry, a potem — gwałtowne szarpnięcie i osunęło się po maszynie o sześć metrów w dół. Stojący na pomoście brygadziści Dudek nie zdołał utrzymać równowagi i runął przez barierkę ochronną. Być może najpierw jeszcze został czymś uderzony — trudno teraz stwierdzić. Na ziemi spadały różne rzeczy. Wrona przyniesiony został przez przemieszczające się elementy konstrukcji dźwigu. Pozostali instynktownie trzymali się tego, co mieli pod ręką. Mogą mówić o wielkim szczęściu, że doznali tylko niegroźnych, jak się potem okazało, obrażeń. Kochelski przewrócił się na pomost i leżał z głową na zewnątrz poki się wszystko nie uspokoiło. Kiedy wstał, usłyszał od Wojciechowskiego, że Józef Wrona nie żyje. Wspiął się wyżej, żeby sprawdzić. Na jakąkolwiek pomoc było już za późno. Nie dało się nawet wyciągnąć ze stalowych klezki zgniecionego ciała. Nad nim wisiała krótkofalówka. Wziął ją do ręki, ale — sam nie wie dlaczego — nie potrafił uruchomić. Tu już chyba raczej zawiodły nerwy.

Zaczęli powoli schodzić. Winda stała unieruchomiona, więc — sto czterdzieści metrów drabiny. Na dole minęli się z Józefem Debernym, Adamem Majem i Edwardem Jagiełło, którzy mimo grożącego im niebezpieczeństwa wspięli się na sam szczyt, żeby zobaczyć, co z Wroną. Nikt im nie kazał. Poszli z własnej woli, samorzutnie, uważając to za swój moralny obowiązek wobec kolegi. Niestety, wrócili z niczym. Zwłoki operatora pozostały na górze. Zdjęli je dopiero następnego dnia po pięciopięćdziesięciu godzinach: Deberny, Jagiełło oraz Jan Filippek i Dariusz Siewior, ale już ubezpieczani przez pracowników „Energomontażu — Północ”. Za swój czyn dostali później specjalną premię po dwadzieścia tysięcy złotych. Ale zrobiliby to przecież i bez żadnych pieniędzy. Zresztą nikt im niczego nie obiecywał. Dlatego tak boją plotki, jakie zaraz rozeszły się na ten temat po okolicy.

Zawiesz ludzka nie zna granic, ani umiaru. Pełno jej nawet w tak trudnych i dramatycznych chwilach. Pieniądze, pieniądze... A czy ludzie wiedzą, że w Kombinacie Budowy Elektrowni przeciętne zarobki robotników są o około dziesięć tysięcy niższe niż w kopalni? A praca przecież wcale nie lżejsza czy bardziej bezpieczna. No i — że Dudek i Wrona nie są pierwszymi, którzy bełchatowskiej inwestycji oddali swe życie?

Przykre to i bolesne sprawy. Trudniej się o nich mówi niż o sukcesach. Ale tak już jest: raz widać blaski, a raz — cienie.

Sześć chłodni kominowych elektrowni „Bełchatów I” w Rogowcu: Halina, Maria, Joanna, Wiesława, Celina i — najmłodsza — Ewa. Cztery pierwsze już pracują. Nad piątą również pojawiają się wkrótce pióropusze pary. Szóstą skończono dopiero niedawno budować. W poniedziałek, 13 października 1986 r. brygada gliwickiego przedsiębiorstwa „Chłodnie Kominowe” przystąpiła już do demontażu masztu stojącego w jej środku dźwigu. W czwartek miało być zatknięcie wiechy, podziękowania dla budowniczych — taka mała uroczystość.

W czwartek, 16 października odbył się pogrzeb 28-letniego Józefa Wrony, a nazajutrz — 36-letniego Józefa Dudka.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

6 ODGŁOSY

„Inter-Polcom”, czyli Polsko-Polonijna Izba Przemysłowa. Handlowa lub, jak kto woli: Polish Polonian Chamber of Industry and Commerce spełnia rolę naturalnego łącznika między administracją państwową a przedsiębiorstwami zagranicznymi. Na wiele pytań, niejasności, niedomówień (i pomówień...) próbowałem znaleźć odpowiedź i wyjaśnienie w rozmowie z dyrektorem łódzkiej delegatury „Inter-Polcomu” — BOGDANEM GLAPIŃSKIM.

— Wiem, że krzywicie się nieco na powszechnie przyjęte określenie „firma polonijna”. — Prawidłowa nazwa brzmi: przedsiębiorstwo zagraniczne drobnej wytwórczości. Potoczne określenie ich „polonijnymi” wzięło się stąd, iż w pierwotnych założeniach mówiono się o zamiarze ściągnięcia do kraju kapitału naszej Polonii. Gdy ten zamiar nie wypadł, bowiem niezbyt wielu Polonusów kwapiło się do inwestycji w ojczyznę, zaproszono innych chętnych z zagranicy. Co nie przeszkadza, że część firm w zupełności na tytuł „polonijnych” zasługują.

— Przypomnijmy, kiedy i gdzie powstały pierwsze. — Te pierwsze otworzyły już dziesięć lat temu. Jedną z nich, bardzo prężnie działającą do dziś jest „Top-Mart”, firma należąca do kanadyjskie-

te wyłącznie szyją tak zwane ciuchy?

— Z pewnością dominuje przemysł lekki, zwłaszcza w Łodzi, ale to przecież zrozumiałe. Z tym, że gama asortymentowa jest bardzo szeroka. Sporo firm produkuje wyroby chemii i kosmetyki („Selecta”, „Servisco”), obuwie („Junopol”) odzież i sprzęt („Helmars”), świadczy usługi budowlane („Intermarkom”).

— Charakterystyczną cechą wielu przedsiębiorstw zagranicznych jest duży „rozrzut” produkcyjny, inwestowanie w najdziwniejsze z pozoru branże...

— To prawda. Klasycznym przykładem może być choćby „Selecta”. Czym się zajmują? Przetwórstwem owoców i warzyw, wytwarzaniem środków do prania, mycia i czyszczenia, produkcją kosmetyków, ale także — wyrobów cukierniczych. To nie koniec bynajmniej: sprzedają winy u nas i na eksport, zajmują się także cięciem złomu nowoczesnymi metodami (m.in. bąrek pływających po Odrze), a ostatnio rozkręcają na dużą skalę przetwórstwo grzybów.

— Jeden z podstawowych zarzutów brzmi: oni zbijają fortunę!

— Są to kapitaliści — nie filantropi i dla nich liczy się

zainteresowanie się firmy jakąś branżą, w której istnieje rynek, a nie laka? A z drugiej strony — co z branżami, których rozwój uznajemy już za zbędny?

— W jednej i drugiej dziedzinie działamy. Generalnie „trzymamy” wspólny front z wydziałami przemysłu i drobnej wytwórczości we wszystkich województwach. Dla przykładu powiem, że w Łodzi od dłuższego czasu nie wydajemy zezwoleń na szyje i związane z nim dziedziny działalności.

— A co preferujemy?

— Interesuje nas bardzo przetwórstwo warzyw i owoców. Wiemy wszyscy doskonale, że baza przetwórcza w kraju „leży”, a nas trapią co pewien czas klęski urodzaju. Sprzęt medyczny — to kolejna dziedzina, w której chętnie widzimy producentów z firm zagranicznych. Elektronika, nowe technologie, usługi: szeroko pojęte, to także kierunki, które popieramy.

— Jakże są zasady i reguły gry?

— Jeśli to nowa firma, to musi mieć minimum 50 tysięcy dolarów USA, z których połowa wędruje do banku jako depozyt założycielski, a połowę wymienia na złotówki i może już uruchamiać interes. To tak w skrócie...

— Zaraz, zaraz, ta wymiana na złotówki to po kursie?

Po co nam to było?

go biznesmena polskiego pochodzenia — Stanisława Szewczyka. Pierwsze swe przedsiębiorstwo wybudował w Częstochowie, w październiku 1981 roku uruchomił podobne w Łodzi, a jest ono zdecydowanie najbardziej nowoczesnym i funkcjonalnym z zagranicznych, chyba w skali kraju. Wszyscy chętni mogą je obejrzeć — mieszki się przy ulicy Morgowej 10.

— Czym zajmuje się firma pana Szewczyka? — „Top-Mart” szyje głównie odzież damską, ale nie tylko. Ostatnio właściciel inwestuje setki tysięcy dolarów w przygotowanie do podjęcia produkcji specjalistycznego sprzętu medycznego na licencji szwajcarskiej.

— Po co ściągaliśmy zagraniczny kapitał? Co chcieliśmy osiągnąć?

— Przede wszystkim miał być to transfer nowoczesnej techniki i technologii, możliwe eliminujących import, transfer nowoczesnych metod zarządzania i organizacji produkcji, wykorzystanie surowców polskich — zwłaszcza odpadów i półfabrykatów, wreszcie zależność nam na rozszerzeniu asortymentu towarów rynkowych, ale jakości najwyższej, eksportowej.

— Nie w każdym przypadku to szczytne cele udało się osiągnąć...

— Taką jest niestety, prawda. Ale pierwsze regulacje prawne dotyczące przedsiębiorstw zagranicznych stworzono w połowie lat siedemdziesiątych, a ideologia dominowała nad racjonalnością celów. Przepisy, które do dziś obowiązują po prostu nie przystają do aktualnej sytuacji gospodarczej kraju, do realiów ekonomicznych. Wiele przepisów krytykowanych jest przez właścicieli, pełnomocników — członków „Inter-Polcomu”, a także przez ekspertów prawnych, ekspertów ekonomicznych.

— Ile przedsiębiorstw zagranicznych mamy w kraju?

— 670, z czego większość rozpoczęła działalność w latach 1982—1984. W Łodzi i województwie działa obecnie 36 firm, a w sześciu województwach na terenie których łódzka filia „Inter-Polcomu” funkcjonuje — 103 zagraniczne przedsiębiorstwa.

— W dzienne nieco roli występuje „Inter-Polcom”; niektórzy nie bez złośliwości twierdzą, że wciąż znajdujcie się między młotem a kowadłem... — Coś w tym rzeczywiście jest; zawsze się komuś naraziam.

— Oficjalnie istniejące dopiero cztery lata? — W 1982 roku ukazała się stosowna ustawa, ale praktycznie istniejące już dziesięć lat, tyle że uprzednio był to jakby wydzielony sektor działania Polskiej Izby Handlu Zagranicznego.

— Pewnie przedsiębiorstwa

maksymalizacja zysków. I działają w myśl zasady: wy zarobicie, ale i my będziemy mieć korzyść. Poza tym wszyscy chyba jesteśmy świadomi, że przedsiębiorstwa zagraniczne nie są i nie mogą być panaceum na nasze trudności gospodarcze.

— Ale podkupują wartościowych pracowników z zakładów upolityczonych.

— W województwie łódzkim w gospodarce upolitycznionej pracuje około 440 tysięcy ludzi, w firmach zagranicznych — około 3,5 tysiąca, a wartość produkcji i usług sięgnęła za pierwsze półrocze niemal 4 miliardów złotych. Nikt nikogo na siłę nie ciągnie, „Japonek” się nie organizuje. Jeśli ktoś wyraża chęć przejścia do przedsiębiorstwa zagranicznego to jest chyba zdrowy objaw. Ludziom po prostu szkoda czasu...

— ???

— Zamiast obijać się przez osiem godzin woli rzetelnie pracować i rzetelnie zarobić. W tych przedsiębiorstwach naprawdę jest doskonała organizacja pracy, bardzo wysoka wydajność i wykorzystanie czasu zbliżone do optymalnego. I nie jest prawdą stwierdzenie, że nie ma przerwy czy czasu na wypalenie papierosa. Tyle że tam się efektywnie pracuje ponad siedem godzin dziennie, a nie cztery czy pięć.

— Powiedział pan: rzetelnie zarobić. Te pensje w jak zwanej opinii publicznej urosły do gigantycznych rozmiarów.

— Wiem o tym, slyszalem niejednokrotnie takie opinie. Wyssane z palca zresztą, bowiem przeciętne zarobki pracowników produkcyjnych w tych firmach są zbliżone do pensji w dużych przedsiębiorstwach państwowych. Wyższe są tylko w przypadku średniego nadzoru i kadry kierowniczej.

— Ale ile wynoszą przeciętnie?...

— Średnio około 25 tysięcy złotych. Oprócz, rzecz jasna, zarobków pełnomocników, ale ich jest u mnie raptem stu trzech i w tych ogólnonarodowych dyskusjach naprawdę idzie o nich chodzi...

— Zdarzają się chyba przypadki oszustw podatkowych czy innych uchyleń. Jak to wygląda naprawdę?

— Czarne owce znajdują się zawsze — trudno byłoby zaprzeczyć prawdziwości tego twierdzenia również w przypadku przedsiębiorstw zagranicznych. Ale chcę wyraźnie powiedzieć i tak jest stanowisko Izby, chcemy umacniać i bronić firmy, które na to zasługują, i duże, i małe, ale trzeba eliminować te, które w tym gronie znalazły się zgola przypadkowo. A i w Łodzi były takie przypadki. Cofnięcie zezwoleń firmie „Jokol”, w fazie likwidacji znajdującej się firmy: „Marpol”, „Polcap” i „Annetex”.

— Czy Izba może sugerować

Państwowym oczywiście, czyli aktualnie 200 złotych za dolara.

— Dyzurny „konik” przed Peweksem da więcej nieco...

— Z pewnością, ale nie da stosownego kwitu...

— I powstają jakieś nowe firmy?

— Oczywiście, w Łodzi od marca na przykład działa przedsiębiorstwo „Aleksis”, którego właścicielem jest Grek. W marcu ruszył, a za półrocze osiągnął już obroty sięgające 150 milionów złotych. Produkuje różnego rodzaju torby z tkanin powlekanych, rozpoczęli wytwarzanie soku pomarańczowego, w grudniu zamierzają dołożyć wyroby cukiernicze, a od paru tygodni dostarczają na rynek... kabele.

— Wiemy, że firmy te powinny eksportować, ale kto tak naprawdę ma z tych transakcji zysk?...

— Zasadą jest, iż wpływy z eksportu brutto w pięćdziesięciu procentach są odprowadzane do banku, wymieniane po kursie państwowym na złotówki i w tej formie wracają do firmy, gdzie pozostaje też drugie pięćdziesiąt procent dewiz. Ale teraz odliczyć trzeba jeszcze ponoszone, w dewizach oczywiście, koszty wszelkich transakcji eksportowych — różnego typu opłaty manipulacyjne. Są to kwoty sięgające nieraz do piętnastu procent wartości brutto.

— Tak jest na całym świecie. O coż więc toczy się walka, bo rozumiem, że dobraneśmy do jednego z punktów spornych, czyli tych niezbyt aktualnych przepisów? Firmy pewnie chciałyby cały zysk zatrzymać...

— Ależ nie! One chciałyby od wartości brutto odliczyć niezbędne koszty i całą resztę podzielić na połowę. Co zresztą nasza Izba od dłuższego czasu postuluje pod adresem ministra finansów.

— Posłużmy się może jakimś przykładem. — Proszę bardzo. Przykładowo: w pierwszym półroczu łódzkie przedsiębiorstwa zagraniczne wyeksportowały towarów za kwotę 1950 tysięcy dolarów USA. Oczywiście do banku trafiała połowa tej kwoty w „twardej” walucie. Jeśli by przyjął, że firma podwaja eksport, a wiemy, że są w stanie to osiągnąć bez żadnych problemów — to otrzymamy kwotę 3900 tysięcy dolarów. Teraz liczymy: odejmujemy te piętnaście procent kosztów, pozostaje część dzielimy na połowę. Jakby nie liczyć i przy ostrożnych prognozach — bank otrzymuje jednak znacznie więcej dolarów...

— Co jest jeszcze krytykowane przez przedstawicieli firm zagranicznych?

— Przede wszystkim — gąszcz przepisów: obowiązujących, modyfikowanych, uzupełnianych, z dodatkami, aneksami, wytycznymi. Już nawet znawcy prawa się w tym gu-

bią. Firmy funkcjonują w oparciu o zdecydowanie prostsze zasady, ale naszych przepisów muszą przestrzegać i często popadają w stan dezorientacji.

— Ale pewne ulgi na początku działalności są niezmiennie. Jak dotychczas...

— Jak dotychczas: przez pierwsze trzy lata firma zwolniona jest z podatku dochodowego. To prawda. Ale po zakończeniu tego okresu wpada od razu w podatek, którego maksymalna stawka wynosi 80 procent zysku.

— No, ale jest na pewno i stawka minimalna?

— W przypadku przedsiębiorstw zagranicznych wynosi ona przeciętnie 60 procent. Nawet po uwzględnieniu ulg za produkcję eksportową czy wytwarzanie towarów eliminujących dotychczasowy import.

— Tu ma pole do popisu, przynajmniej powinna — wasza Izba...

— I próbujemy, choć na razie z miernymi skutkami, sugerować stosowanie bardziej elastycznej polityki, w zależności od rodzaju produkcji, od potrzeb. Trzeba rozróżnić, i w podatkach także, gdy ktoś produkuje ciuchy, ktoś żywność, czy wprowadza nowoczesne technologie. Ale u nas wciąż obowiązuje klasyczna polityka fiskalna, ściągająca

maksymalnych ilości pieniędzy — tylko to się liczy.

— A przecież z zysków także przedsiębiorstwo ma się rozwijać, powinno dalej inwestować...

— I jeśli ma służyć realizacji polityki państwa to trzeba iść na pewne ustępstwa, by kapitałiste zainteresować, zachęcić do budowy choćby hali produkcyjnej, która i tak u nas przecież zostanie, podobnie jak technologia.

— Wielu domorosłych biznesmenów rażą nie tyle nawet te dewizy, te możliwości eksportowe, ile nieprawdopodobna wręcz jak na nasze układy, możliwość i przyzwyczajenia elastyczności działania tych przedsiębiorstw zagranicznych...

— Pod tym względem faktycznie mogą być wzorem dla wielu gigantów naszej gospodarki. Oto choćby firma „Karimex”. Szyją odzież, wytwarzają także rajstopy i skarpety — ale jaką metodą: sprządzają z Włoch wybrukowane i je... regenerują! Zajmują się utylizacją odpadów bawełnianych i te dla odmiany — eksportują do tychże Włoch jak srogiwiec produkcyjny. Nam się to w głowie nie mieści, bo my znamy takie kombinacje wyłącznie z makulaturą i złomem metalowym. A oprócz wspomnianych, „Karimex” mocno jest jeszcze w branży elektronicznej, kooperuje z przemysłem, między innymi w wyposażeniu szaf sterowniczych.

— Wykorzystywanie koniunktury to również maksymalne śrubowanie cen na własne wyroby...

— To też kolejny mit. Od półtora roku ceny na wyroby przedsiębiorstw zagranicznych praktycznie nie wzrosły — to fakt. Wzrosły natomiast ceny na wyroby przemysłu państwowego — to też fakt. Wysokie ceny w naszych firmach to przecież bardzo często efekt importu surowca czy półfabrykatu, ale przede wszystkim — wysokiego opodatkowania. Klasycznym przykładem, co zresztą bardzo ładnie jest eksponowane na opakowaniach, niech będzie czekolada poznańskiej firmy „Carpattia”. Czekolada kosztuje około 300 złotych, w tym — 110 złotych to podatek obrotowy...

— A tak na marginesie: łódzka delegatura „Inter-Polcomu” ileż to osób zatrudnia?

— Być może dla kogoś będzie to zaskoczeniem, ale cała delegatura to trzy osoby... Główny specjalista, sekretarka, która również jest referentem i moja skromna osoba. I naprawdę nie potrzeba nas więcej...

Rozmawiał: DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Skalolazka

Zapytałem cię, ki diabeł w góry ciągnie was, po co się pchać na szczyt, i na co to to wam, kto normalny by na te cholerne skały lazi? Rozesmiałaś się, mówiąc: „Spróbuj sam...”

I od razu byłaś śliczna jak z obrazka, alpinistko ty, skalolazko ty, gdy z urwiska poleciałem w przepaść z wrzaskiem, uśmiechałaś się, dłoń podając mi...

A wieczorem, kiedy wróciliśmy do bazy, za ten upadek mój, i doświadczenia brak, nie nie mówiąc, po głębie dałaś mi dwa razy — nie obraziłem się, lecz wyszeptalem tak:

O, chce za tobą iść na linie jak na pasku, alpinistko ty, skalolazko ty, ile razy zlatywałem w przepaść z wrzaskiem, kięłaś, ale kinąc pomagałaś mi.

I odtąd podczas naszych dalszych wspólnych wypraw, gdy z tych parszywych gór spadałem wciąż na lew,

ty mą niezdarność podkreślałaś w sposób przykry, za każdy krok i błąd czekanem tłuć mnie. A byłaś przy tym taka śliczna jak z obrazka, alpinistko ty, skalolazko ty.

kiedy z kolejnych urwisk zlatywałem z wrzaskiem, ty dawałaś w twarz z satysfakcją mi.

Dzieli mnie od ciebie jeszcze tylko jeden metr, gdy dogonię cię, powiem: „Mila, dość...” Tu z urwiska poleciałem znów na zbity łeb, lecz to nie — i tak mój usłyszysz głos:

Ach, moja ty śliczna, himalajska i kaukaska, alpinistko ty, skalolazko ty! Nie ma rady, musisz być zeskalolazką — jedną llną wszak powiązaliśmy...

Przełożył: MICHAŁ B. JAGIEŁŁO

Poezja jest tylko na ziemi

Aleksander Wampitów był krótko, zmarł śmiercią tragiczną w jeziorze Bajkał. W swoich notatkach napisał: „Drwię ze śmiertel, gdyż wiem, że nigdy nie będę stary”. W tym wyznaniu jest zarówno gorzka przepowiednia własnego losu jak i przekonanie autentycznego artysty noszącego w sobie światło, poezję i nieśmiertelność życia. Powiedziałem, że żył krótko, lecz o dojrzałości dramaturga świadczą nawet prowadzone przez niego pośpiesznie notatki, oderwane zdania, myśli, które kiedyś zamierzał wykorzystać. Niżej prezentujemy skromny wybór z przygotowanej do druku przez wydawnictwo „Sowietskaja Rossija” książki, w której znajdzie się proza A. Wampitowa oraz jego notatki, które prowadziły przygotowując się do pisania kolejnych dramatów.

E. IW.

Człowiek szczęśliwy zawsze jest czegoś tam winien.

Wobec innych jest on winien choćby tym, że jest szczęśliwy.

Bez niej było mi smutno. Przyjechała i przywiozła ze sobą niepokój, trwogę, zaszłość itp.

Człowiek, który chorobliwie troszczy się o swoje zdrowie.

Był dumny, lecz z obawy, że z nim się nie przywitają, sam witał się pierwszy.

Życie jest krótkie i im rzadziej będziemy razem, tym więcej utracimy szczęścia.

Sceptyk: on nawet własne wiersze czytał z pogardą.

Zjawiasz się wszędzie, jakbyś spacerował w wielu egzemplarzach.

Młody człowiek wchodząc do redakcji: Czy potrzebni są wam Gogole i Szeczeriny?

Zgubił młodzież w kolejkach.

Był pozerem do przyjemności, o ile to nie zawód. Restauracja „Grób Askolda”.

Jeśli nie ma pod ręką świeżego, byskotliwego apitetu, trzeba umieszczać epitet dokładny.

Bezrośnięty posiadacz bezczesnych skarbowi młodoci: jeszcze sam nie uganiam się za szczęściem, a jedynie nadepną mu niechcący na piętę.

Napisał na cegielni: Nabywcę przywitamy solidną eggią.

Srodek lipca. Siedzę w sadzie, gdzie przed chwilą była moja ukochana. Pozostawiła książkę i krzeselko. Czekam — wróć. Mam dla niej dwie gałki bzu i milion czułych słów.

Tablica pamiątkowa: Tu czasami bywał...

Liczy najlepiej zapamiętują nie mądry, a chytry.

Pozatek opowiadania: Jeśli tego, o czym będzie mowa, nigdy nie było w rzeczywistości, będzie to mimo wszystko, najczystsza prawda...

Drwię ze stróżki, gdyż wiem, że nigdy nie będę stary.

Wiosną nawet fabryka obuwia pachnie cukierkami.

Abym przestał kochać potrzebny jest czas. Dla kochanki się czas jest zbędny.

— Aleś a pana zuchwałci! — powiedziała z szamunkiem.

Dziś podobają się młodzi ludzie mający samochody, a nie własne zdanie.

Pożywać pieniądze jest łatwiej niż odmawiać, gdy chcą pożyczyc od ciebie.

— Przecież mnie kochasz?

— Dziś tego nie mówię.

— Jakże to nuda kochać za solidność.

Nie kłómy się, niech nam zadowolisz.

Listopad. Ciepło, bardzo ciepło. Kapie z dachu. Pachnie wiosną. Taka pogoda w listopadzie tylko jatrzy duszę.

Nie ma nic straszniejszego nad duchowe bankrutwo. Człowiek może być goły, bledy, lecz jeśli ma jakąkolwiek ideę, cel, nadzieję, marzenie — to poczynając od zamiaru skompletowania najlepszego albumu ze znaczkami a kończąc na marzeniu o nieśmiertelności — jest on człowiekiem i jego istnienie ma sens.

Teatr nigdy nie umrze: Ludzie nigdy nie przestaną robić z siebie grupów.

Chrapanie w hotelu. W nocy w ciemnym hotelu rozlega się potężne, bohaterkie chrapanie. Rano okazuje się, że to chrapał melutki i mizerny uczelnia — inspektor szkolny.

Wykaszlecień zdobył późno, z trudem zniewalając własną naturę i przez całe życie ani na moment nie zapomina, że jest człowiekiem wykształconym.

Polne koniki wystraszone moim cieniem wysypały się na drogę.

Chciał mówić to, co myślał, ale przypomniał sobie, że nie ma pieniędzy.

Wszyscy oni mają jedną wadę: oni — to nie ty.

Końcom, gdy przy nim wspomina się miast krymskie, uśmiecha się nieprzewzięcie i marzydielsko. W Jakuie każdy skromny dotąd obywatel zaczyna mówić „merc”, „pardon” i prowadzi się demoralizująco. Pię wytrwane wina, których nie cierpi, stara się namówić na spacer każdą kelnerkę.

Dziwne rzeczy zdarzają się na ziemi: lato zmienia się w jesień, potem przychodzi zima, a po niej przez potoki mknące po rykach polach idzie wiosna. Pora już się do tego przyzwyczaić...

Z wrodzonych zdolności najsilniej miał rozwinięte poczucie długu.

Był poeta, ale oprócz zmartwień fakt ten nżożego innego mu nie dostarczył.

Opowiedział młodego stróża: Teraz kradną w dzień. W nocy nie ma co robić. Wstyd brać pensję...

Marzenia, które się spełniają, to nie marzenia, ale plany.

Jakby się nie wyszali badacze literatury nigdy nie uda się im uczynić Czechowa czwartym i nudyym pisarzem.

Stróż jest poważny i kołtun jest poważny.

Wszyscy dobrzy pisarze znani są z tego, że mówili prawdę. Ni mniej ni więcej, tylko prawdę. W dwudziestym wieku to wystarcza, by zyskać sławę.

Pomyśl winien być genialny, pisząc trzeba liczyć na arcydzieło, a wówczas wyjdzie znośne opowiadanie.

Człowiek się zupełnie swobodnie na scenie artystyce pozwolił jedynie natężnieniu albo cynizm.

— Kiedy jesteś szczęśliwa? Tylko szczerze.

— Kiedy się dobrze wyspię, włożę na siebie piękną suknię, słowem kiedy dobrze wyglądając wejdem rano do kancelarii gdzie jest kilku mężczyzn i wszyscy oni patrzą na mnie z pamięcią w tejże minucie o swoich żonach. Wtedy jestem szczęśliwa.

Przełożył: EUGENIUSZ IWANICKI

Włodzimierz Wysocki: „Temat moich pieśni to życie”

Byłem wtedy studentem Instytutu Literatury i zajmowałem się twórczością Jesienina, kiedy otrzymałem skierowanie na praktyki do działu literackiego moskiewskiego Teatru na Tagance, w którym wystawiano właśnie „Pugaczowa” Jesienina, a Chłopusz grał Włodzimierz Wysocki. Po raz pierwszy zetknąłem się z Włodzimierzem Siemionowiczem w 1968 r., a po raz ostatni widziałem go wiosną 1980 r. Rozmowy z poetą i aktorem prowadzone w ciągu tych dwunastu lat zawsze nagrywałem na magnetofon i zachowało się ich u mnie wiele. Ale gdy teraz słuchałem głosu i słów Włodzimierza Wysockiego, mówiącego o głębokich problemach sztuki zdecydowałem się na zapis z września 1971 r. Wtedy też sfotografowałem Wysockiego. Ta rozmowa z nim jest publikowana po raz pierwszy.

ALEKSIEJ KAZAKOW

— Włodzimierzu Siemionowiczu już nie po raz pierwszy poruszamy w naszych rozmowach temat poezji Jesienina. Co było dla Pana kluczem do postaci Chłopusza i jak po latach ocenia Pan sceniczną ewolucję w pracy nad tą postacią?

— Cały czas szukaliśmy określonej poetyckiej tonacji, która mogłaby pomóc przenieść poezję Jesienina na scenę. Pomogły nam w tym również intermedia napisane przez Nikołaja Robertowicza Erdmana. Ja sam kierowałem się przeważnie autorską, jesieninowską deklamacją monologu Chłopusza, której zapis na szczęście się zachował. Powszechnie wiadomo, że Jesienin sam wspaniale recytował swoje wiersze i ten właśnie jesieninowski żywioł chciałem w czysto emocjonalnej płaszczyźnie przekazać. „Pugaczowa” gramy już od dziesięciu lat i naturalnie w jakimś stopniu zmienia się interpretacja roli, pogłębia się, przeleci my aktorzy także dojrzejwamy, nabieramy doświadczenia. Ale te dawne spektakle z końca lat 60. też miały swój urok, naiwność młodości, pasję aktorskiego pragnienia, aby koniecznie zagrać trudną rolę. A sama postać Jesienina jest mi również jako człowiekowi bardzo bliska, ja sam odnajduję w nas wspólne cechy...

— Jest Pan aktorem z 20-letnim stażem pracy w teatrze i kinie. Czy dla Pana jako aktora istnieją takie role, których nie mógłby Pan zagrać?

— Myślę, że takich ról nie ma. Mogłbym grać wszystko oprócz ról kobiecych i oprócz tych ról, których nie mógłbym zagrać ze względu na wiek, których grać już nie należy. Ale nie mogę powiedzieć, że na przykład ta rola jest bohaterka, a tamta komediowa, nie wybierałbym, ale z radością grabym i jedną, i drugą. Nie wiem, jak by to było zagrane, ale nigdy nie czuję, że tej właśnie roli nie mogę zagrać.

— Wygląda na to, że stopniowo zaczyna Pan odchodzić od pracy w teatrze na rzecz kina...

— Ostatnio mówi się bardzo dużo o tym, że odchodzę z teatru. To nieprawda. Po prostu trudno mi pogodzić pracę w teatrze z pracą w kinie, szczególnie, kiedy odbywa się to jednocześnie. Nie chciałbym zupełnie porzucić sceny. A przecież trzeba jeszcze pisać i na to zostaje mi tylko noc. Możliwe, że kiedyś sam nakreślę swój własny film. Na razie przygotowuję się do tego. W teatrze gram w kilku sztukach, zaszeregłem je dla siebie. Chciałbym zrobić coś samodzielnie, a dokładniej — napisać scenariusz, wyreżyserować to, zaśpiewać i zagrać samemu. Jeśli się uda — będę się cieszył, jeśli nie — to znaczy... nie wyszło...

— Na jednym ze swoich koncertów wypowiedział się Pan na temat piosenki autorskiej i piosenki estradowej. Chciałbym jeszcze raz usłyszeć Pańskie zdanie na ten temat.

— Kiedy mówię o piosence autorskiej i estradowej oddaję oczywiście palnię pierwszeństwa piosence autorskiej, dlatego że sam się nią param. Ale aby móc nazwać się autorem piosenki, trzeba niejedną zjeść beczkę soli... Na płycie dla dzieci „Alitca w krainie czarów” nagrałem ponad dwadzieścia muzycznych fragmentów, między innymi piosenkę papugi. Rolę papugi śpiewam sam. I w zasadzie odpowiada to na wiele pytań — czy byłem tym w czym imieniu śpiewam często swoje pieśni-monologi. Odpowiadam: papuga nigdy nie byłem — ani w dosłownym, ani w przenośnym znaczeniu. A teraz serio — rzeczywiście nigdy nikogo nie naśladowałem, ponieważ uważam, że to częste zajęcie. Po prostu usłyszawszy po raz pierwszy pieśni Bulata Okudźawy zrozumiałem nagle, że moje wiersze, których nabierało się już dosyć dużo można wzmocnić melodią, rytmem — jakby mi oczy otworzyły. I zacząłem, oczywiście inaczej, pisać muzykę do swoich wierszy.

Jednak teraz tyle jest podróbek „pod Wysockiego”, że nawet ja sam nie zawsze mogę je odróżnić od swoich piosenek i tylko dzięki jakimś niuansom wyczuwam imitację — zadziwiająca! Jest na przykład taki człowiek, który nazywa siebie Georgesem Okudźawą — nazwisko zabrał Bulatowi, a śpiewa moim głosem... I uważa się, że to niby takie proste...

A ja wyczuwam wszystkich tych, którzy próbują swoich sił w pisaniu, aby starali się robić wszystko samodzielnie, tak jak to widzą, jak rozumieją. Przecież w życiu też ciekawiej jest mieć do czynienia z osobowością, z człowiekiem, który ma swoje zdanie, poglądy na temat tego o czym mówi. Takim człowiekiem jest mój nauczyciel Paweł Włodzimierzowicz Masalski, który pozostawił niezatarty ślad w moim sercu.

Nie mówię już o tym, że samo pisanie nakłada na człowieka odpowiedzialność. Ludzie

zawsze chcą usłyszeć to, czego im nikt inny nie opowie ze sceny. W naszej epoce totalnej informacji, którą chłuszczą ci codziennie w uszy i ozy z ekranów telewizorów i kin, z radia i telefonów, z pogłosek i plotek tak bardzo chciałoby się zobaczyć i usłyszeć na widowni nie sztukę wtrąca, ale coś nowego...

Jakos zapomina się u nas o tym, że widz jest zbyt doświadczony i coraz rzadziej ma ochotę słuchać piosenki estradowej, w której brak obrazu poetyckiego, w której nie ma niczego dla duszy. Patrzysz, pojawia się: „Hallo, szukamy talentów” — i „znajdują”, dlatego, że talentów jest dużo, one zjawiają się na zawołanie, naśladując tych, którzy byli wcześniej, wybierając sobie idoli i prawie nigdy nie wstręcają uwagi na to co śpiewają i o czym...

Proszę przypomnieć sobie natrętnie dźwięczące w uszach — „Jablonie w kwiatkach — jaki to cud”. A topolia w puchu — też cud, i jeszcze cała masa różnych rzeczy — wszystko to cuda. A jeżeli porównać z tym wydumany jesieninowski: „Wszystko mnie mgła jabloni biała. Ogarnięty złotem zamierania Żegnam młodość z wiatrem przesuwała” (tłum. Tadeusz Mongird) — i od razu staje się jasne co i dlaczego... Na przykład Bernes, on przecież także pracował na estradzie, ale nigdy nie pozwalał sobie na śpiewanie słych tekstów.

Piosenka autorska, którą uprawiam ma masę niedociągnięć — skąpy akompaniament i prawie zawsze uproszczony rytm, ale mogę powiedzieć na pewno, jestem o tym przekonany, że taka piosenka jest bardziej dynamiczna, dlatego że pozwala na improwizację — to rodzaj rozmowy z ludźmi. Tym bardziej, że ja weale nie śpiewam, ja opowiadam: „Słuchajcie i patrzcie!”. I na sali wytwarza się przyjacielska atmosfera, wyczuwasz tę atmosferę jakimś siódmym zmysłem i śpiewasz... Dlatego ludzie chcą zanieść piosenkę do domu, usłyszeć co się za nią kryje, co takiego człowiek jeszcze miał na myśli. Ludzie często widzą w piosenkach to co jest im bliskie i na pewno ją konkretnie nie to miałem na uwadze, ale to jest tam w piosence, jeśli oni to zobaczyli.

— Nie raz zdarzało mi się widzieć, jak Pan śledząc gdzieś w kąciku za kulismani długo próbuje na gitarze wciążyć tę samą melodię...

— A czy można inaczej? Piosenka autorska wymaga niezwykle dużego wkładu pracy. Ta piosenka żyje w tobie przez cały czas, nie daje spokoju ani w dzień, ani w nocy, tekst zapisujesz czasem od razu, ale trzeba w to włożyć ogromną pracę. Piszę przede wszystkim w nocy, piszę tak, żeby móc się skupić. Coś śkąd tam spływa, powstają wersy, obrazy, przepływa muzyka... I nigdy — to przecież twórczość — przed oczyma nie zgadniesz, co powstanie... Jeśli ma się wrazenie, że to przychodzi łatwo, to jest ono fałszywe. Jak mówił Jesienin: „Piszę w głowie, na papierze tylko dopracowuję...” Piosenka przez cały czas nie daje mi spokoju, jak robak duszę tłoczy i żąda, żeby ją światu pokazać.

Piszę pieśni o różnej tematyce. Mam całe serie na tematy wojenne, sportowe, baśniowe, liryczne. Raczej takie cykle. A temat moich pieśni jest tylko jeden — życie. Temat jest jeden — żeby można było żyć lepiej — w jakiej formie by się to nie wyrażało — komediowej, baśniowej, żartobliwej.

O zainteresowaniu osobowością człowieka. Piszę przecież swoje pieśni w imieniu jakby różnych ludzi. Myślę, że wzięło się to stąd, że jestem aktorem. Przecież, kiedy piszę — to gram te piosenki. Piszę w imieniu człowieka, jak gdybym znalazł go od dawna niezależnie od tego kim jest: marynarzem, lotnikiem, kołchoźnikiem, studentem, robotnikiem z fabryki...

Piszę także pieśni do sztuk. Tak było z kilkoma piosenkami do sztuki „Własna wyspa” dla teatru „Sowremiennik”, śpiewał je tam Igor Kwazda. Piszę też piosenki do sztuk dla naszego teatru, dźwięczą one i w „Pugaczowia” i w „Dziesięciu dniach...” i w „Antyświatach”.

We wszystkich moich utworach zawarta jest duża doza autorskiego domysłu, fantazji, i gdyby było inaczej to wszystko co robię nie miałooby żadnej wartości. Też coś — zobaczył na własne oczy, wziął i zrymował. I nie ma w tym wcale nic cennego. Człowiek, żeby tworzyć musi być obdarzony fantazją. Z natury swojej jest on twórcą. Jeśli opiera się tylko na faktach, coś takiego rymuje, pisze — to taki realizm mnie nie urzęda. Osobiście jestem raczej za Swiftem, za Gogolem, za Bułhakowem, za 26-letnim Lermontowem... To są prawdziwi twórcy. I oczywiście nie ma prawdziwej twórczości bez cierpienia. To znaczy, że wszystko znowu sprawdza się do jednego — osobowość, indywidualność — oto co jest najważniejsze. Weźmy dla przykładu temat wojny. To rozg

mowa o tym wielkim nieszczęściu, które na cztery lata przyniosło cały nasz kraj. Ale ja oczywiście nie piszę na ten temat pieśni — retrospekcji, tylko pieśni — skojarzenia. Jeśli się w nie wśluchać, okaże się, że pieśni te można śpiewać i dziś, że żyją w nich ludzie z tamtych wojennych lat i sytuacje z tamtych lat, ale idee i problemy są nasze, teraźniejsze. Wracam do tamtych czasów po prostu dlatego, że bardziej interesuje mnie pokazywanie ludzi, którzy znajdują się w najbardziej krytycznej sytuacji, w momencie ryzyka, kiedy coś się w nich zalamato, naderwało... Kiedy ci ludzie znajdują się na samym skraju przepaści, na skraju urwiska — krok na prawo, krok na lewo... I takich właśnie ludzi, takie krańcowe sytuacje częściej znajduję w tych dalekich, wojennych czasach. Uważam, że trzeba to śpiewać teraz, dziś i kontynuować w przyszłości.

— A czy nie chciał Pan nigdy zebrać swoich wierszy w jeden tomik?

— Chciałem. Ale to, jak wiadomo zależy nie tylko ode mnie. Nie lubię być petentem i obijać progi redakcji ze swoimi wierszami... Woję raczej śledzić i pisać, żeby można było potem śpiewać dla ludzi. Myślę, że w naszych czasach nagrania magnetofonowe stały się szczególnym rodzajem literatury. Gdyby magnetofony istniały w czasach Puszkina, niektóre z wierszy Puszkina z całą pewnością zachowałyby się wyjątkowo na taśmach magnetofonowych...

A teraz właśnie ukazał się mój singel, a na okładce nie wiadomo dlaczego jakieś brzoźki stawy, nawet labędzie wycierają. A piosenki są zupełnie o czym innym — na tej płycie znajdują się wojenne pieśni z kilku filmów, piosenki, które pisałem dla studia „Bielorusfilm”. Są to: „Bratnie mogli”, „Piosenka o nowych czasach”, „On nie wrócił z boju” i „Piosenka o ziemi”. A Pan mówi — tomik wierszy...

— I ostatnie pytanie. Pana stosunek do popularności i do naszego widza?

— Kiedy myślałem w naszym teatrze premierę „Hamleta” przez jakieś pięćdziesiąt minut nie mogłem rozpoznać. Siedzę przy ścianie, ściana zimna, a jeszcze wyciążyli ogrzewanie. A ja przed rozpoczęciem spektaklu powinienem znajdować się właśnie przy tej ścianie w głębi sceny. Okazuje się, że studenł wdarił się na widownię i nie chciał wyjść. Na ich miejscu zrobiłbym to samo — przecież kiedyś sam łaziłem przez dach na przedstawienie we francuskim teatrze, czego się nie robiło w młodości... Tak właśnie odczułem swoją popularność — plecami przy zimnej ścianie.

Jeśli mówię o widzu, to wole uważną publiczność, powiedziałabym — przychylną publiczność, niezależnie od wieku. Chcę, aby widzowie, którzy przychodzą do nas na salę przychodzili właśnie na to, na przyszły. Nie tak, że nie wiedzą nawet co tam będzie, ale żeby szli właśnie na to, co chcą zobaczyć i usłyszeć, w imię czego tracą swój czas. I cieszę się, że takiego gatunku, jakim jest piosenka autorska ludzie chcą słuchać. Widz i wykonawca usposobieni są do siebie iycielni, nastawieni wzajemnie na słuchanie i odbiór.

A kiedy przychodzą po to, żeby zobaczyć i obejrzeć żywego Wysockiego, to tego nie lubię. Dlatego, że przez pół koncertu przyzwyczajają się widza do tego, że wszystko jest normalnie, tak, rzeczywiście, na scenie przed nimi jest właśnie ten człowiek... I dopiero mniej więcej w połowie koncertu widz zaczyna się od tego uwalniać i naturalnie reagować na to, co się dzieje.

Publiczność bywa różna. Ale różnice wielkowie zupełnie mi nie przeszkadzają, nie ograniczają mnie. Bardzo dobrze reaguje młodzież. To nie przypadek, że takie aktory starszego pokolenia bardzo lubią młode audytorium. Ja nawet lubię widownię dziecięcą, piszę dużo dla dzieci. Ale dzieci, jakkolwiek dziwne by się to nie wydawało, lubią piosenki dla dorosłych.

Lubię atmosferę spotkania, kiedy powstaje wrazenie rozluźnienia. I dopóki pracujesz, to nie ma czasu na to, by zwracać uwagę na takie rzeczy, że dziś wydaje ci się, że jesteś bardziej popularny niż byłeś wczoraj... Jest tylko jeden sposób na to, aby uchronić się od takiej popularności i nie spocząć na laurach — pracować, nie przestawać pracować. Dopóki umiem trzymać w ręku ołówek, dopóki w głowie coś jeszcze kręci, będę pracował. Dzięki temu jestem wolny od samopojądania się.

Możliwa jest tylko jedna odpowiedź na pytanie — dlaczego moje pieśni zyskały popularność, a mianowicie dlatego, że jest w nich przyjazny nastrój, jest zwrócenie się w myśl do przyjaciół. I wydaje mi się, że w tym tkwi sekret popularności moich piosenek — jest w nich ufność. Całkowicie ufam swojej widowni, swoim słuchaczom. Wydaje mi się, że zainteresuje ich to, co im opowiadam.

(WEDŁUG TEKSTU W: „LITERATURNJA ROSSIIA” 1986 r. nr 32). Tłum.: ANNA BLUMENTAL

„Po co się coś robi z kimś? Wiadomo, różne są powody. Na przykład żeby połączyć siły. Tworzenie teatru; posługiwanie się nim, bywa zazwyczaj próbą nawiązania dialogu. Teatr który miałby ochotę przeciwdziałać spotykaniu się ludzi, miałby się z sensem. Jest więc ze swej istoty zjawiskiem społecznym. Ale to prawo działa przede wszystkim w relacji: teatr-publiczność. Gorzej z relacją teatr-teatr (...) Nie jestem przeciw konkurencji. Bez niej życie smakowałoby jak uracznitowka. Ale przecież naszym celem jest ta sama publiczność, więc czy nie lepiej zamiast lig i epistoficznego ścigania się — jakoś próbować współpracy?”

To przesłanie pierwsze. Ponadto żyje się zawsze gdzieś, w jakimś czasie, ogólnie mówiąc — wśród okoliczności. To także powinno skłaniać do solidarności (...). Te parę słów nie oddaje rzecz jasna wszystkich powodów, które kierują nas w stronę współpracy (...). Piszę o tym przed drugą edycją kooperacji teatralnej,

antenie ogólnopolskiej. To, co obejrzała niewielka widownia na żywo, godne jest prezentacji ogólniejszej. Niech przemówi do zasiadających telewizyjnych „kapciarzy” i porusz ich uspokojone i zaspokojone przez — choćby „Eden” — mózgi. Jest o czym myśleć.

Widownia tego niezwykłego widowiska była różna. Od ludzi zainteresowanych, którzy wiedzieli, po co przychodzą, poprzez wszędzie obecne dzieci (ich uwadze nie ujdzie nic), do widzów przypadkowych, zwabionych widokiem karetki pogotowia, przyczajonej na wzgórze, nad torami, obecnej z konieczności, bo tak mówią przepisy o organizacji widowisk publicznych. Tak to niewzruszony przepis (słuszny, oczywiście, w takich przypadkach) spowodował, że kilkadziesiąt osób (zakładając, że zostali i zmusili swoje umysły do pracy) mogło przesyłać wstrząs większy niż doznawany przy oglądaniu obciętych przez pociąg nóg nieostrożnego przechodnia.

Oddaję teraz głos reżyserowi widowiska Wojciechowi Krukowskiemu, gdyż to, co mówi, jest ważne i konieczne do zro-

wspólnego przedsięwzięcia, niż na prezentacji poszczególnych teatrów. To znaczy: rozmach widowiska-projektu wymagał tak wielu i tak różnorodnych przedsięwzięć organizacyjnych, że, jak gdyby, zabrakło czasu na resztę. Poza teatrami biorącymi udział w kooperacji, czyli: TAKO, Prawdziwy, Bez sceny, Votum, Scena Pantomimy Eskimo i Orfa — prezentującymi również własne, osobne przedstawienia; ujrzelśmy teatr Vitarium z Sieradza i wspomniany Studencki Teatr Uliczny.

Spektakle wymienionych grup były dość przypadkowe i, na mój gust, nie złączone tak klarowną myślą przedwidnią, jak to było w roku ubiegłym.

Lecz, powiadam; gdy w minionym roku kooperacja była rodzajem się dodatkiem do KTA, tak w bieżącym wysunęła się zdecydowanie na plan pierwszy, kosztem teatralnych propozycji pojedynczych scen. Myślę, że rok przyszły powinien połączyć dotychczasowe doświadczenia — i — nie odstępując od kontynuowania projektu wspólnego, zaprosić jednak spektakle ważne i wnoszące coś nowego, niepokojące, denerwują-

to górną i sloganowo, taka jest wola ogółu. Piszący te słowa dołącza się do niej, mając wszakże świadomość, iż jego głos niewiele znaczy.

5.

Wystąpił łódzki teatr „Bez sceny”, którego oceny rozrzuciły się wśród obserwatorów od: bez sensu, do nieklamanych pochwał.

Teatr Ruchu „Vivarium” z Sieradza, przedstawił poetyckie, miejscami piękne widowisko o świecie i życiu, walne dobra ze złem, człowieku uwikłanym w to wszystko, w co uwikłany jest człowiek.

Jeszcze raz Studencki Teatr Uliczny z widowiskiem plenerowym pt. „Kwiaty”, które ci i owi ocenili jako banal — bo przedstawiającym wprost, bez belkotu znaczeń: czym powinna być miłość, zrozumienie, prawo do indywidualizmu, świat bez wojen — pojęcia dość używane — poprzecz częste używanie.

Teatr Pantomimy Eskimo z dwoma etudami: „Tratwa Me-

Komu nagroda „Odgłosów”?

REGULAMIN NAGRODY TYGODNIKA „ODGŁOSY” ZA UPOWSZECHNIANIE KULTURY W ROKU 1986

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1986 roku w wysokości 50 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.

2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły, którzy w 1986 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w praktyce.

3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej osobie lub zespołowi.

4. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością obejmującą rok 1986 i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy” do 31 stycznia 1987 roku.

5. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kandydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.

6. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch”.

7. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

8. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi: — przedstawiciel Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego,

— dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”.

— przedstawiciel Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi,

— przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, zawodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych. Skład jury nie może przekraczać 11 osób.

9. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1987 roku.

Czasu wcale nie jest tak dużo

Rozpoczęliśmy trzecią już edycję nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury. Pierwszą nagrodę „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1984 roku otrzymał ANTONI SZRAM. Nagrodę w drugiej edycji — za upowszechnianie kultury w 1985 roku otrzymał SŁAWOMIR PIETRAS. Teraz trwa trzecia edycja — nagroda „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1986 roku.

Kandydaty do nagrody zgłaszać można do 31 stycznia 1987 roku. Nagroda obejmuje rok kalendarzowy, choć sezon kulturalny zaczyna się po wakacjach i przed wakacjami się kończy. Podobnie jak rok szkolny czy akademicki. Mimo to zdecydowaliśmy się ocenić dorobek w upowszechnianiu kultury w skali roku kalendarzowego. Daje to możliwość oceny dorobku niejakiego z dwu sezonów jednocześnie. A termin nadsyłania kandydatów do nagrody upływający 31 stycznia 1987 roku — czyli zawsze wraz z końcem stycznia każdego następnego roku — pozwala na dobre przyjrzenie się temu, co działo się w kulturze w całym minionym roku.

Przypominam też, że postanowiliśmy nie ogłaszać kontrkandydatów zwycięzcy, choć sam fakt zgłoszenia do nagrody jest już jakimś wyróżnieniem. Decyzja ta wzięła się stąd, że utrzymanie tajemnicy nazwisk kontrkandydatów pozwala im wyrazić zgodę na ponowne zgłoszenie. Może to być też bodźcem do zwiększenia wysiłku w upowszechnianiu kultury, a przez to przyczynić się do jej rozwoju.

Będziemy — jak co roku — publikowali wypowiedzi ludzi zajmujących się literaturą, sztuką, wydawców, działaczy, organizatorów życia kulturalnego, na temat upowszechniania kultury, jak i na temat tego, komu przyznać nagrodę „Odgłosów”. Decyzje w tej sprawie podejmie jury, które przez dwa minione lata pracowało niemal w takim samym składzie.

Może się wydawać, że do końca roku jest jeszcze sporo czasu, ale faktycznie nie jest go wcale tak dużo. Dlatego proponuję: rozierzmy się uważnie wokół siebie, popatrmy na to, co dzieje się w kulturze, kto odnosi sukcesy w upowszechnianiu kultury? Zastanówmy się: kogo zaliczyć jako kandydata do nagrody? Chcemy, żeby były to decyzje przemyślane, poważne, li-czące się na kulturalnej mapie nie tylko Łodzi, ale i innych regionów Polski.

Czekamy na wypowiedzi i zgłoszenia!

MAREK KOPROWSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Karetka nad torami, czyli dlaczego teatr amatorski nie chce mówić?

która zostanie zrealizowana podczas tegorocznych Konfrontacji (KTA). To będzie już druga edycja. Więc może po prostu mamy rację?”

A exposé Andrzeja, Pałubskiego, szefa tegorocznych KTA, które wypowiedział w imieniu organizatorów, brzmi:

„Projektując różne warianty przyszłości przeglądu szczególnie zetknęliśmy się z Teatrem 77, co pozwoliło na znaczne przyspieszenie dochodzenia do nowej idei. Postanowiliśmy zmniejszyć ilość i dokonać selekcji zaproszonych grup. Zainteresowani byliśmy przede wszystkim teatrem myślicyjnym w kategoriach społecznych, teatrem który chce zmieniać otoczenie. Dla wydłużenia i pogłębienia kontaktu pomiędzy grupami i dla wyartykułowania pewnych wspólnych idei założyliśmy, że zaproszone zespoły podejmą próbę zrealizowania wspólnego przedsięwzięcia teatralnego. Efektem był spektakl „Podróże”. Choć formuła VIII KTA nie była oparta na jakiejś zupełnie nowej teatralnej myśli (podobne kooperacje zdarzały się w przeszłości) to przeniesiona na grunt polskiego teatru amatorskiego wydała się na tyle interesująca, że postanowiliśmy kontynuować ją także w tym roku.”

Właśnie ta kontynuacja była najważniejszym wydarzeniem tegorocznych KTA. Spektakl ot „Czas oczekiwania może ulec zmianie” odbył się na terenie osiedla Radogoszcz, a ściślej, na łące przy torach kolejowych.

3.

Reżyser przedsięwzięcia, Wojciech Krukowski — „rektor” Akademii Ruchu (firma mówi sama za siebie, każdy wtajemniczony to wie, a domyślający się, wyczuwał) zaprezentował nam widowisko ogromne — i jeśli chodzi o rozmach, czyli formę — i o treść, czyli sens: jawny i ukryty. Przejedźniające zgodnie z rozkładem (o działwo w czasie prób — o tej samej porze) prawdziwe podzięk, dopelnily, jak życie (i ocena każdego z widzów) myśli filozoficzna działania teatralnego. Wieloznaczność sensu i metafor widwiska nie chce poddać się słowom, nie to jest przesłaniem relacjonującego. Wrzenie na widzach spektakl zrealizował wielkie (niekiedy odbierano) był do słownie — co też świadczy o prawidłowym doborze środków, mało kogo pozostawiając objętym. Oceny, które dotarły do uszu piszącego te słowa, namaszczyły nieczym miód trójniak dusze „sprawców” wydarzenia. Filmowane było ono metodą video przez ludzi z Domu Filmu i Plastyki, kasetą będzie gotowa niebawem.

Gdyby można było podpowiedzieć coś Telewizji (ba!), uważam, że powinna ona „wylać” od organizatorów gotowy zapis spektaklu i pokazać na

zumenia potrzeby takich działań:

„Ponieważ organizatorzy KTA którym udało się przekonać mnie do uczestnictwa we wspólnym tworzeniu oczekują także motywacji udokumentowanej pisemnie, sięgnąłem do notatek jeszcze teraz dość bityckich mojemu rozumieniu sytuacji, w której (wobec której) się spotykamy.

Jeśli istniejąca sytuacja jest cała taka sama, a nie taka jaka mogłaby być, to wówczas wszelkie antyrewolucyjne, anty-intelektualne interesy, danej sytuacji społecznej i światowej nie napotykają na opór w widelnicznym, sięgnąłem do notatek wielkiego eksperymentu (który jest jedynie pozorem, jak każda nieurzędująca utopia) artysta teraz również jako człowiek życia, a nie tylko jako człowiek ducha, zostaje sam na łasce zwycięskich władz. Reprodukuję on swoje przedmioty bez gestu poświęcenia, a jedynym na sprzedaż. Jedyną wartością może pozostać firma; tzn. zastąpi artysty, który szuka jakiejś wyższej satysfakcji chronię się pod skrzydła towarzyskich elit wyższych sfer. Jest on bezbronnym, niezamaskowanym niewolnikiem teraźniejszości. Ale my lubimy te niezamaskowaną rzeczywistość, ponieważ wierzymy, że rozwiązanie, że obecna utopia, leży w naszych rękach. Zawodowi budziciele nadziei, artyści i politycy, nie mogą już dłużej wycofywać się do swoich niebios (czy centralnych komitetów) między kolejnymi odkupieniami. A więc jesteśmy znów w teatrze — czy też raczej w tym co nazywamy teatrem i jakie jest znaczenie tej naszej wierności? Gdy teatr naprawdę istniał, był żywym światłem pośród zderzenia się uświęconej formy (reguly) i świeckiego życia (zbrodni). Aktorzy — bogowie i chór ludzkiej społeczności, stawali wobec siebie (tworząc w twarz) i wobec znanej tajemnicy porządku i wolności. Później tajemnica stała się plotką, a teatr zamiasł być żywym wydarzeniem stał się inscenizowaną literaturą (teatr tradycyjny) lub dramatycznym hołus-pokus (teatr nowoczesny). Ponieważ najczęściej teatr nie był jedynie sztuką, jako szuka miał też często jedynie drugorzędne znaczenie.

I oto teraz my stajemy wobec siebie — najpierw jako społeczność grup teatralnych, znających różne smaki żywych wydarzeń. I oto „wspólna” nasza wyobraźnia ma sięgnąć do tego co powszednie, gdy raz jeszcze odnowić siebie — i „społeczniństwo” w nierodzinności zdarzenia. I mniejsza o to czy będzie ono „sztuką”.

4.

Tegoroczne KTA bardziej niż ubiegłoroczne, co zrozumiale, skupiły się na kontynuacji

ce, lecz nie jakiegokolwiek. A tegoroczne, z małymi wyjątkami, były właśnie takie.

Początek (nie powiem, że dobry) zrobił Teatr Prawdziwy z Bielawy, widowiskiem plenerowym pt. „Antygona”. To, co zaprezentował, również dobrze mogło nazywać się „Hamlet”, „Tango”, czy nie nazywać się wcale. Późnym wieczorem, w parku obok DK „Lutnia” grupa aktorów, w świetle punktów, przy muzyce, przemierzała spore pola trawników lub wymachiwała nad sobą wielkimi chorągiewkami. Na koniec spaliło się podwyższenie (oltarz? estrada?) jakiejś bogini, czy kogoś takiego. Wszystko bez słów. Niektóre pomysły, owszem, oryginalne, świeże, lecz całość otarła się (lub stała się) o pewną szarlatanerię artystyczną, która polega na epatowaniu środkami, gdy sens gubi się, przesłaniając by być ważny, czy zgoda potrzebny. Teatr Prawdziwy kroczy (to trzeba przyznać) swoją własną drogą, nie deptając odcienionych wcześniej śladów, ma więc prawo do pobłądzenia. Moim zdaniem tak się stało. Nie oznacza to oczywiście klęski. Trzeba szukać innego szlaku.

Znany w środowisku teatr Orfa ze Zgierza zaprezentował tym razem „Przygody rycerza Szalawili” Jana Brzechwy (nie wg Jana Brzechwy, co ważne), widowisko dla dzieci i dorosłych. Baśń tę zna (a przynajmniej powinien) każdy. Warunkiem i dopowiana akcja poparta dobrą, aktorstwem (a w przypadku ról wiadczy — bardzo dobrym) stawia Orfę w nielicznym zastępie teatrów amatorskich o równym, wysokim poziomie. Są i tu poszukiwania formalne, lecz nie przesłaniają one treści, nie gubią znaczeń, wyważone są proporcje między słowem a resztą „znaków” teatralnych. Jest to zasługa reżysera, scenografa i autora scenariusza w jednej osobie, Mariana Glinkowskiego, który sprawuje jednocześnie funkcje kierownika artystycznego teatru Bedac szefem artystycznym KTA, dał on dowód siły ducha i mocy fizycznej, gdy po całonocnej gorącej dyskusji w siedzibie Teatru 77 na temat formuły i dokonał tegorocznych Konfrontacji, wystąpił na tępnego (a właściwie tego samego) dnia o godzinie jedenastej na tzw. spotkaniu podsumowującym, jako prowadzący dyskusję.

Skorzy już uczestnicy rozmowy, artyści występujących teatrów, jednogłośnie poparli ideę dotychczasowych poszukiwań zbiorowych, opowiedzieli się za tym, by przyszłoroczne, jubileuszowe, dziesiąte spotkanie kontynuowały (w dził niewiadomym jeszcze kierunku) poszukiwania, by kluczyły wśród tysięcy tropów, w niespokojnym dążeniu do prawdy, zmieniającej się częściej niż wydawać się to mogło umartym filozofom. A wszystko dla dobra teatru amatorskiego, czy, jak wolę, ochotniczego. I choć brzmie-

Czytelnicy - Redakcja

JAN TKACZYK, Łódź. Pisze pan w liście do naszej redakcji: „Mam nadzieję, że znajdą się rozumni ludzie posiadający odpowiednią możliwość widać i „Osnowa”, tak jak przystało na kwartalnik, będzie się ukazywała co kwartał, a nie jak Bóg da lub może kto inny...”. Proszę nam wierzyć, że nam również na tym zależy, aby w Łodzi regularnie wychodziła „Osnowa”. I byłoby nawet dobrze, gdyby stała się — choć w cyklu kwartalnym jest to dość trudne — konkurencją dla „Odgłosów”. Ale żadna władza tego nie jest i nie będzie w stanie sprawić. Wszystko — lub niemal wszystko — zależy od redakcji i wydawcy.

CZEŚLAW ŻYLINSKI, Łódź. Ma pan całkowitą rację. Maria Konopnicka zmarła w 1910 roku, a więc w Bronowiu — jak tego chce M.K. — nie może być pamiętka i fotografii z lat 1901—1912. Za pomyłkę przepraszamy!

Jeśli chodzi o inne uzupełnienia i sprostowania odnoszące się do artykułów Zenona Janusza Michalskiego „Plenum narodowej nadziei” i Lucjusza Włodkowskiego „Tamte lata, tamte czasy”, to ich autorzy zajmując się określonymi wydarzeniami nie o wszystkim mogli i chcieli napisać, gdyż wtedy byłoby to zupełnie inaczej zamierzone artykuły. Jak się pan zapewne już zorientował, Lucjusz Włodkowski pisze cykl artykułów z najnowszą historią Polski — choć tego nie zaznacza — i wyjaśnienia oraz podanie faktów, o których pan wspomina, nastąpią w dalszych artykułach tego cyklu.

Dziękujemy za pozdrowienia. **ANDRZEJ KRAKOWSKI, Łódź.** Sprawę zbadaliśmy. Nie wygląda ona tak, jak to był pan uprzejmie przedstawił. Nie będziemy się nią zajmować.

EUGENIUSZ JEZIORSKI, Łódź. Pisze pan, że słyszał „z kół zbliżonych do dziennikarskich”, iż „Odgłosy” mają w zanadrzu jakąś rewelacyjną nowinę. Pyta pan też, czy Zbigniew Nienacki szykuje coś nowego.

Drukowana obecnie powieść Jacka Sawaszkiewicza „Agonia w bisku stulecie” powinna się skończyć w lutym 1987 roku. Nowela szwedzka D. A. F. de Sade „Ernestyna” w najbliższym czasie — za dwa, trzy numery. W tej sytuacji redakcja musi przygotować się do druku nowych powieści. Trudno jest powiedzieć z całą pewnością, ale wszystkie wskazują na to, że „Ernestyna” D. A. F. de Sade ukaże się być może opowiadaniem, a po nich nowa, rewelacyjna powieść Walentina Rasputina „Pożar”. Powieść ta jest szeroko dyskutowana w ZSRR.

Po ukończeniu druku powieści Jacka Sawaszkiewicza „Agonia w bisku stulecie” ukaże się — wszystko jak do tej pory na to wskazuje — bardzo wysoko ceniona przez krytykę — oceny te też będziemy wydrukowali — powieść Jacka Krakowskiego „Sodoma”.

Zapowiadane te proszę jednak traktować nie jako bezwzględnie obowiązujące. W naszej redakcyjnej praktyce już niejednokrotnie zdarzało się, że coś od dłuższego czasu przygotowywanego do druku nagle zostało wyparte przez coś jeszcze bardziej atrakcyjnego. Nie jest to w żadnym razie zobowiązanie redakcji, jedynie odpowiedź na pytanie o pewnych przyznaniach i przygotowaniu.

Zbigniew Nienacki — jak on sam poinformował — pisze nową powieść, ale konkretnie będzie można o niej mówić gdzieś dopiero za rok. Wszystko jednak wskazuje na to, że stanie się to znacznie później, gdyż Zbigniew Nienacki poważnie zachorował i przebywa obecnie w szpitalu w Łodzi. Życzymy mu szybkiego powrotu do zdrowia i pracy pisarskiej.

Za pozdrowienia dziękujemy!

REDAKTOR DYZURNY

SPOTKANIE Z VILLARD DE LANS

Jak to opisać, jak opowiedzieć o tym zdarzeniu bez emocji. Znak widać może od początku. Od 1940 roku do 1946 gościło w Villard de Lans polskie liceum i gimnazjum im. Cypriana Norwida. W tym jakże trudnym dla nas i dla Francuzów okresie pomiędzy uczniami gimnazjum a mieszkańcami Villardu zrodziła się przyjaźń, sympatia, która przetrwała do dziś i trwa. Było to chyba w 1974 roku, starsi panowie, uczniowie liceum i gimnazjum: Jerzy Rulka, wybitny inżynier, przedstawiciel Polskich Linii Oceanicznych w Paryżu, inżynier Kazimierz Dębski, znakomity budowniczy dróg w Polsce południowej, Tadeusz Leonowicz z MHZ spotkali się przypadkowo na kawie, a może nieprzypadkowo, nie wiem, w każdym razie na tym spotkaniu, zyczącym, koleżeńskim jak to bywa, zaczęto wspominać młodzieńcze psoty i radości. I mi stąd mi zowadź Jerzy, tak to był chyba on, a może się mylę, w takim razie przepraszam was, Kaziku i Tadeuszu, zaproponowałem spotkanie w szerszym gronie, co by to było, powiedział, gdybyśmy villardzcy rozrzućeni po świecie spotkali się, dajmy na to, w Villardzie?

A że my villardzcy nigdy nie poprzestawaliśmy na słowach, po owocej wymianie zdań na ten temat z zamieszkanymi w Francji absolwentami gimnazjum, Lucjanem Owczarkiem, dnę prezesem stowarzyszenia villardczyków, Bernardem Nowakiem inżynierem w firmie francuskiej utrzymującej dość żywe kontakty z Polską, Franciszkiem Holmboldem, architektem wnętrza, posiadającym własną wytwórnię przedmiotów upiększających mieszkanie, adwokatem z Vichy Bolesławem Szpiegą, prywatnie bywającym poetą, uzgodniono, że spotkanie takie powinno się odbyć w trzydziestą rocznicę wyjścia ostatnich uczniów z Villardu.

Reakcja władz miejskich Villardu na tę propozycję była zaskakująca, aprobująca spotkanie bez zastrzeżeń. I nagle skromna inicjatywa paru osób wyzwoliła coś, co nawet trudno nazwać. Ożyła pamięć tamtych dni, przed grobami poległych w pamiętnej bitwie na Vercors złożono nie tylko kwiaty, ślubowanie o dochowaniu pamięci zmarłym, ale coś więcej, oni, polegli na wojnie jakby przypomnieli nam żyjącym o obowiązku kultury, wspaniałej przyjaźni, sympatii, jaka połączyła nas wtedy we wspólnej walce z Niemcami.

O rozmiarach tej pięknej patriotycznej manifestacji przyjaźni polsko-francuskiej niech świadczy choćby to, a przypomnieć to muszę, że władze miejskie Villardu dla uczczenia tego spotkania, sprowadziły z Polski chorągiew Akademii Muzycznej z Gdańska, którego występ mieliśmy nam i Francuzom przypomnieć, że w czasie wojny chorągiew liceum śpiewała nie tylko koło krzepienia serc, ale rozświecała również Villard. Na frontowej ścianie hotelu du Parc, w którym mieszkali chłopcy wmurowano tablicę pamiątkową, jedną z ulic miasta nazwano ulicą polskiej młodzieży. Była to wtedy w 1976 r. prawdziwa eksplozja sympatii, tłumiona przez czas przyjaźni, nagle znalazła ujście i wybuchła.

Ożyły więc wspomnienia, ubarwiły je doskonale przemówienia byłego dyrektora szkoły prof. Wacława Godlewskiego, tłumacza na język francuski „Lalki” Prusa, który przypomniał nam o swoich oratorskich talentach, mera miasta Villard pana Rawixa oraz polskiego konsula z Lyonu i oczywiście Lucjana Owczarkę prezesa zarejestrowanego już dzisiaj w Villardzie Stowarzyszenia Villardczyków.

A jak było teraz? Wobec serdecznie jak wtedy. Pani Susette Guichard, której ojciec władał hotelem du Parc, wydała wspaniałe przyjęcie na świętym powietrzu, była współorganizatorem

naszego pobytu. Dla 24 przybyłych z Polski villardczyków pani Guichard przystosowała kwatery w domach prywatnych. Właściciele nie usunęli z nich nawet swoich osobistych rzeczy. A przecież pamiętam, pan Guichard przechowywał w piwnicach hotelu du Parc kilka tysięcy butelek wina, no i pech chciał, że jeden z naszych kolegów podczas bezsennej nocy w jakiś dziwny sposób tam właśnie zabił, w lunatycznym śnie, nieświadom dla które czyni, pokonując liczne trudności, otworzył drzwi do piwnicy i... otrzeźwiało, świdrzyło o tym to, że odrzucił swoje ujawnił zaledwie paru osobom, które okazały się na tyle godne zaufania, iż zatrzymały tę wiadomość dla siebie.

W piwnicy ubywało wina, ale nie butelek, każda bowiem po wypróbowaniu była bardzo dokładnie ponownie zamknięta i z czułością odłożona do dalszego leżakowania.

Pech chciał, że pan Guichard na święta Bożego Narodzenia zaprzęgnął poczęstować swoich gości szczególnie rzadkim trunkiem, który to upodobał sobie „Goście hotelu du Parc” no i trafił na pustą butelkę, awantura była ogromna, ale nie o to że chłopcy wino wypili, ale o to, że starali się to ukryć i narzili go na śmieszność. Tenże pan Guichard wpadł na pomysł hodowania świni na zlewkach z kuchni. Pomyślał przypadać do gustu pani Gostyńskiej, gospodyni naszej społeczności, kobiecie cudotwórczyni, albowiem cudów trzeba było dokonać, aby wykarmić te wściekłe głodną bandę obelżywistów. Na początek kupiono dwie świni, jedną świnię nazwano polską, a drugą francuską. Świnie rosły w oczach ku uciesze obu stron, aż tu nagle ktoś zdeptał świnia z nich zdeptał. Pan Guichard utrzymywał, że zdeptał świnia polska, pani Gostyńska twierdziła z całą stanowczością, że przeciwnie i nikt z nas nie wątpił, że miała słusność. Po sporach ciągnących się parę miesięcy pan Guichard uznał się za przekonanego.

W piątek, 5 września po śniadaniu zaplanowano nam spacer po Villardzie, co mi się rzuciło w oczy w tym pięknym kurorcie, równoległe jak stół chodniki, krawężniki jakby prosto od kamieniarza, żeby choć jeden był wyszczerbiony, byłoby mi źle. Odnowione równo dziesięć lat temu fasady domów wcale nie przystąpiła do generalny remont, były jak nowe, zapomniałem przyjechać stamtąd, Bernarda Nowaka, powiedział mi jak on to robił! — Francuzi, widzisz, są leniwi — powiedział — zamiast robić to samo dwa razy, robią raz i dobrze, wcale się przy tym nie spieszą. Prawda, jakie to proste, prof. Marcel Malbos, uczył nas francuskiego, największy wśród Francuzów, polski patriota, zaprosił nas na apéritif do Baru Centralnego, który w czasie wojny, przed południem, przestawiał się w salę lekcyjną.

Po samym obiedzie w hotelu les Playes pojechaliśmy autobusem do Vassieux en Vercors, miejsca kaźni, rzezi jakąś auto-ważły mieszkańcem Vassieux i okolic wojska niemieckiego. W tej największej bitwie partyzanckiej, jaką francuski Ruch Oporu stoczył z Niemcami, brali również udział Polacy, ale ciała poległych w walce uczniowie gimnazjum i liceum spoczyły na cmentarzu miejskim w Villard, obok poległych z nimi profesorów.

W sobotę po śniadaniu na cmentarzu w Villard odbyła się uroczystość złożenia wienków na grobach naszych bliskich, w imieniu władz miejskich mówił z sercem, tzn. bez kartki mer Villard, który zna nas chyba tylko ze słyszenia, bo urodził się już po wojnie, ale przemawiał tak, jak gdyby nas znał, jak stary znajomy.

I to było wczoraj. Później był już wspomniany przeze mnie apéritif w ogrodach Mnie Suzette Guichard, a po obiedzie spotkanie towarzyskie i organizacyjne z mieszkańcami i władzami miasta. Wieczorem msza św. ku pamięci zmarłych.

W niedzielę pielgrzymka drogą, przy której zbudowano dziesięć kaplic poświęconych poległym w bitwie o Francję, z siódmą w stylu zakopiańskim, poświęconą poległym na Vercors Polakom. Na końcu drogi w kaplicy Yalcheviere odbyła się msza św., a po niej piknik na trawie, świećcie słoniec, wiał lekki wiatr.

Po obiedzie na estradzie przed ratuszem wystąpił polski zespół folklorystyczny, a później w hali sportowej spotkanie władz miasta z nami było czymś więcej niż spotkaniem starych znajomych, przy lampce wina po znakomitych przemówieniach polskiego konsula z Lyonu, mera Villard de Lans, prof. Godlewskiego, Bernarda Owczarkę, Bolesława Szpiegę, przeszliśmy do sali szkolnej, gdzie przygotowana dla wszystkich wspaniała kolacja. Były znów przemówienia, a najznakomitsze wygłosił nasz wielki przyjaciel, prof. Malbos, wręczeni upominków przez konsula szczególnie zasłużonym w krzewieniu przyjaźni polsko-francuskiej, i jak by tych serdeczności było mało, na zakończenie, wszystkim którzy przyjechali z Polski, wręczono Honorowe Odnaki Miasta Villard. Był to gest o szczególnym znaczeniu, jeśli się wie, że we Francji na podobne wyróżnienie, trzeba sobie naprawdę zasłużyć.

Prof. Godlewski, odjeżdżając do siebie daleko, aż na Tuluzę, na stacji w Grenoblu powiedział, teraz może już spokojnie umrzeć.

Na początku tego wspomnienia, pisząc o kolegach wymieniłem ich tytuły naukowe, nie ze snobizmu, S chęci przypodobania się komukolwiek, ale z tych 700 uczniów, którzy przeszli przez Villard prawie wszyscy są już w miejscu swego zamieszkania. Spotkaliśmy się po tylu latach, kto wie czy nie po raz ostatni, ale nie było wśród nich niezadowolonych, nikt się nie upił, nie handlował, nikomu nie zadrościł. Jedyny szmugiel jakiegoś dopuścił się jeden z naszych kolegów wart jest kronikarskiego odnotowania. Na dworcach lotniczych w Warszawie podszedł ów kolega do mojej łódki i z przerażeniem w oczach zapytał, ile ma przewieźć papierosów, że dwie paczki na dzień pobytu, ja często palę więcej, czy możesz mi pomóc?

Już we Francji na jednym z przyjęć żona podszła do niego i szepem, ale tak żeby wszyscy słyszeli zapytała, kiedy odbierzesz ode mnie swoją kontrabandę, a było to pięć, słownie, pięć paczek papierosów „8,5”.

I był może dlatego również tak nas dobra w Villardzie pamiętają.

KAROL OBIDNIAK

KURS KORESPONDENCYJNY JĘZYKA ESPERANTO

— Zarząd Główny Polskiego Związku Esperantystów organizował — po raz pierwszy w historii ruchu esperantycznego — korespondencyjny kurs języka esperanto NON STOP. Na kurs ten można się zapisywać każdego dnia i od razu rozpocząć naukę. Co tydzień uruchamiamy się przynajmniej jedną grupę kursu korespondencyjnego pod nazwą „ESPERANTO NON STOP”.

Nauka na kursie korespondencyjnym polega na wykonywaniu ćwiczeń pod kierunkiem nauczyciela. Ćwiczenia te przesyła się do oceny i korekty w dowolnych odstępach czasu, ale nie rzadziej niż dwa razy w miesiącu. Tak więc tempo przerabiania materiału w dużej mierze uzależnione jest od możliwości czasowych uczestników kursu. Po sprawdzeniu przez nauczyciela — i wystawieniu oceny — ćwiczenia odsyła się przystając. Egzamin końcowy również przeprowadza się korespondencyjnie.

Praktyka wykazała, że kurs składający się z dwóch semestrów przerobić można w ciągu 7—10 miesięcy. Znajomość języka, osiągnięta tą drogą, umożliwia swobodną korespondencję, a także czynne posługiwanie się językiem, m.in. na międzynarodowych imprezach esperantycznych w kraju i za granicą, o których członkowie Polskiego Związku Esperantystów są na bieżąco informowani.

Członkiem PZE może zostać uczestnik kursu korespondencyjnego już w trakcie nauki. Szczegółowe informacje na ten temat otrzymuje uczestnik kursu wraz z podręcznikiem i innymi materiałami do nauki.

Kurs korespondencyjny ma tę przewagę nad kursami stacjonarnymi, że jest on wygodniejszy pod względem organizacyjnym i czasowym. Naukę przystosować można do każdego rozkładu zajęć, uczestnik kursu nie jest skrepowany określonymi dniami i godzinami wykładów i ćwiczeń.

Zgłoszenia i zapisy na korespondencyjny kurs języka Esperanto przyjmują oraz szczegółowych informacji udziela: Polska Związek Esperantystów, Ośrodek Oświatowy „Ritmo”, 00-013 Warszawa, ul. Jasna 6, tel. 27-82-67.

NA RECENZENTA

Nie ostrz pióra recenzencie,
Gdy się żółta ulewa
Strujesz się mądrością haustem
Gdy pomieszasz żółt z inkaustem

Lepiej czasem w sercu słoniec,
choć nosząc w sercu
Nie ostrz pióra recenzencie
Gdy się żółta ulewa.

ELBE

„STONOGA”

Inicjatorami założenia zespołu była Komenda Hufca Łódź-Polesie im. Harcerskiej Poczty Powstańczej oraz Młodzieżowego Domu Kultury Retkinia w Łodzi. Jego założycielami było młode małżeństwo harcerskie Ania i Wojtek Gałdecy.

Teksty piosenek układała Ania, zaś Wojtek pisał do nich melodie. Przeważnie były to piosenki turystyczne i harcerskie. Niektóre dowcipne i zabawne stanowiły żelazny program koncertów dawanych coraz częściej i na znaczących w kraju wrogach. Od dwóch lat zdobywają na nich wyróżnienia. W roku bieżącym zdobyli w Koninie wyróżnienie. Z harcerskiego festiwalu Kultury Młodzieży Szkolnej i Harcerskiej w Kielcach przywieźli „Złotą Jodłę”.

W tym miejscu warto byłoby wspomnieć wydatną pracę choreografów Iwonę Mikołajczyk pracującą z zespołem od 1979 roku i przybyłej do niego później Lilianny Bruszewskiej, poświęcającej bardzo dużo czasu pracy z dziećmi.

Główna Kwadra ZHP zaprosiła im wyjazd na występ do Związku Radzieckiego w ramach rządowej wymiany kulturalnej. Zwiedzieli wiele miast, osiedli i wsi radzieckiej Białorusi. Byli w Brześciu, Pińsku, Baranowiczach, Wołkowysku i Grodnie. Odwiedzili szereg radzieckich kolchozów i Domów Pioniera witaną wszędzie chlebem i solą.

„Stonoga” działa obecnie w Młodzieżowym Domu Kultury Retkinia mieszczącym się przy ul. Marusarzów nr 2, w małym parterowym budynku, w pomieszczeniach określonych za więcej niż skromne. Najgorsze smartwienie kierownictwa zespołu, to problem finansowy. Jak to bywa w szkolnictwie subsydlencja na zespoły artystyczne nie są zbyt wysokie. Dlatego też członkowie tego zespołu mają się rozmałych prac, np. akcji świątecznej. Współpraca z wojskiem to też forma działania „Stonogi”, która bierze aktywny udział w organizowaniu kulturalnych występów podczas zwłaz żołnierskich. Wojsko zaś kombinuje jak by tu podać w rozszerzeniu używanych przez zespół pomieszczeń przy najmniejszych kosztach.

„Stonoga” należy do tych niezlicznych zespołów, które w swojej wieloletniej pracy wykazały, że chcą to znaczy istnieć. I takiemu zespołowi należałoby dać pomoc w postaci nowego pomieszczenia, bądź ustaleniu właściwego i stałego mecenatu.

MIECZYSLAW KOZAK

ZAPROSZENIE

Z ŁDK otrzymaliśmy następujące pismo:
„Ośrodek Działań Twórczych — nowo powołana placówka przy Łódzkim Domu Kultury, jest zainteresowana każdą formą niekonwencjonalnej działalności twórczej (w dziedzinie muzyki, fotografii, literatury, teatru, plastyki itp.).
Nie byłoby siły najbardziej nieprawdopodobnych pomysłów.
Z każdego pomysłu może powstać atrakcyjne działanie twórcze.

Zainteresowanym współpracę z Ośrodkiem umożliwiłoby zorganizowanie wystawy, happeningu oraz zrealizowanie interesującego pomysłu teatralnego. Przewidujemy również prowadzenie działalności wydawniczej.

Zainteresowani mogą się zgłaszać w Ośrodku Działań Twórczych ŁDK, Łódź, ul. Łagiewnicka 118c, tel. 57-06-34”.

W TROSCE O DRZEWA

We wrześniu 1986 r., po kilku latach starań, przy Zarządzie Głównym SITO w Warszawie, powstała Ogólnopolska Sekcja Leśnictwa i Pielęgnowania Drzew Ozdobnych, zrzeszająca zwyczajnych i nadzwyczajnych członków SITO. Celem sekcji jest:

- skupienie specjalistów zajmujących się problematyką ratowania i ochrony drzew (dendrologów, konserwatorów przyrody i konserwatorów zabytków, projektantów zajmujących się terenami zieleni, wykonawców robót pielęgnacyjno-leczniczych przy drzewostanach parkowych, alejach, pomnikach przyrody etc.)
- szeroka popularyzacja wiedzy o potrzebie ochrony drzew oraz ich znaczenia dla życia człowieka
- stałe podnoszenie kwalifikacji zawodowych jej członków.

Na pierwszym ogólnym zebraniu członków wybrano 9-osobowy Zarząd Sekcji pierwszej kadencji, na którego czele stanął jako przewodniczący kol. Marek Siewniak, naukowiec z SGGW-AR Warszawa.

Głównymi zadaniami sekcji w pierwszym okresie będzie skupienie w jej szeregach wszystkich ludzi mających wpływ na wyżej wymienioną problematykę, nadanie sekcji szerokiej ram organizacyjnych, podjęcie akcji szkoleniowej wśród jej członków, nawiązanie współpracy z zainteresowanymi instytucjami w kraju i za granicą.

1. Pożegnałem Romana — nie-Romana na wietrznej i chłodnej ulicy.
— Och — powiedział — może jeszcze zadzwonię.
Nie zadzwonił. Nie uprzedził „Odgłosów”, iż wrócić z tygodniowym opóźnieniem. Nie próbował skontaktować się ze mną w domu, choć jestem już w Polsce od miesiąca (niebawem jednak miał to, zrobić).
Może był zwykłym cwaniakiem, a może kimś zupełnie innym. Na razie pozostaje to dla mnie zagadką.

Kiedy rozplynął się w gęstwinie ogromnego miasta, sądziłem, że temat Polaków przekraczających Rio Bravo jest dla mnie zamknięty.
Byłem w błędzie. To i owo miałem jeszcze przed sobą.

2. Do siedziby Zjednoczonej Partii Socjalistycznej Meksyku zawiadził mnie Jan Szerszeń. Powiedział, że wrócił za półtorej godziny i opuścił skromny hall o ścianach przyozdobionych portretami Marksa, Ho Chi Minha i Emiliana Zapata, legendarnego przywódcy chłopskiego, zamordowanego w 1919 roku. Na stoliku obok drzwi spoczywała wykuta z brązu statuetka Włodzimierza Lenina z wyciągniętą ręką.

Za biurkiem u podnóża schodów urzędowała zdecydowanie miła pani o zdecydowanie miłym głose. Zawiadomiła kogoś przez telefon, iż jestem, i oto zszedł po mnie sam José Dolores Lopez, szef wydziału rolnego i sektora gospodarczego PSUM oraz Przewodniczącym Niezależnego Związku Zawodowego Robotników Rolnych i Chłopów.

Usiedliśmy w pokoju na piętrze. Wyjąłem Caro. Poprosiłem o wodę, poczęstowano mnie kawą. Szef nie palił. Na razie. Był wysokim, szalenie przystojnym Metysem, który w Polsce nie przeżyłby nawet jednego miesiąca, a to z tego powodu, że wykończyłyby go kobiety. Miał na sobie, od dołu: żółtawe mokasyny, dzinsy, śnieżnobiały podkoszulek, niebieską koszulę i kurtkę typu adidas. Ktoś by pomyślał: playboy, ale zachowywał się z prostotą wieśniaka, a mówił precyzyjnie i szorstko. Widać nie rozpaskudziła go jeszcze władza. Wciąż był jeszcze z robotniczymi i z chłopstwem, nie z elitą.

Uspokój się! Rozmowa z tym człowiekiem będzie ciekawa i nawiąże do granicznej rzeki Rio Bravo. Zaczęło się jednak typowo.

— Ilu członków liczy wasza partia? — zapytałem.

— 600 tysięcy, przy czym prawie połowa, ściślej: 42 procent, działa na wsiach, poza miastami.

— Słyszałem, że jeszcze niedawno partia komunistyczna, za jaką uchodzicie, funkcjonowała w Meksyku nielegalnie, albo na polu legalnie.

— PCM była zarejestrowana już w 1979 roku, po czym połączyła się z pięcioma innymi lewicującymi partiami i przybrała nazwę PSUM, Partido Socialista Unificado de Mexico. Poza robotnikami i chłopami skupiamy ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Zabieramy głos w radio, w prasie, w telewizji. Mamy swoją gazetę ASI ES. Dzięki temu możemy popularyzować przyjęty przez PSUM program reform politycznych i społecznych. Bieremy udział w wyborach. Nasz członkowie coraz częściej trafiają do władz regionalnych, federalnych i miejskich, a głoszą na nich nie tylko biedacy, ale również osoby nie mające nic wspólnego z socjalizmem.

— Interesują mnie szczególnie dwie sprawy — powiedziałem. — Problem chłopski w kontekście wiejskim i na obrzeżach wielkich miast oraz emigracja ludności meksykańskiej do USA. Mielście kilka rewolucji i wielokrotnie podejmowaliście próby sprawiedliwego podziału ziemi, ale jak dotąd nie z tego nie wyszło: wieś pozostaje biedna a chłop nieszczęśliwy.

— To prawda. Społeczeństwo wiejskie jest eksploatowane podwójnie i podwójnie upośledzone. Miliony chłopów nie mają w ogóle domu — nie tylko w miastach, ale i na prowincji. Brak opieki medycznej, brak szkół dla dzieci, dzięki czemu rosną nowe pokolenia analfabetów. Dochody, przypadkowe zarabek, nie starczą na życie. Komunikacja na wsiach nie istnieje. Nawalają dostawy, w związku z czym lekarstwa, ubranie i żywność kosztuje tam dwa razy drożej niż w mieście. Korzystają z tego kacykwowie (caciques), o których pan zapewne słyszał, i pośrednicy — kojoci (intermediarios coyotes), zarabający, po pierwsze: na sprzedawaniu chłopom po paskarskich cenach tego, co dostępne jest wyłącznie w sklepach miejskich, a po drugie: na wykupywaniu od nich za bezcen różnych wyrobów artystycznych i rzemieślniczych, które można sprzedać turystom z czterokrotnym zyskiem.

— Zatrzymajmy się na chwilę przy caciqu-
es.

— Cacique to odpowiednik sycylijskiego mafioso. W starych meksykańskich haciendach zawsze ktoś wcześniej czy później zdobywał niepisana władzę nad posiadłością i zaczynał kontrolować teren, podnórządkowując sobie wszystkich: od prostego chłopca, po lekarza i księdza. Tak jest i dzisiaj, na terenie całego Meksyku. Kacykwowie rządzą z bezwzględny okrucieństwem na wsiach i w miastach. Czasami kacyk panuje tylko nad jedną wsią i jedną dzielnicą. Czasami będzie to parę dzielnic i kilkanaście wiosek. Czasami cały stan. Są straszliwie bogaci. Mają swoich pistoleros i guardias espaldas (rewolwerowców i goryli) którzy chronią ich i zmuszają ludzi do posłuszeństwa. Jeśli trzeba: biją i maltretują. Jeśli trzeba: wykonują wyroki śmierci. W rękach kacyków jest przemyt i narkotyki. W ich rękach są politycy, których sądowia na wysokich, stanowych i federalnych urzędach i zmuszają do tańca na własną nutę, a jak nie, to kula w łeb, choćby chodziło o senatora lub gubernatora. Mają silne powiązania z wojskiem i policją. Nierzadko walczą również między sobą o nowe obszary wpływów: mordują się, wykradają, nie do tego stopnia jednakże, aby osłabnąć. Wypowiedzieliśmy im wojnę. Demaskujemy ich. Jeśli trzeba, podejmujemy przeciwko nim działania zbrojne. Są przekleństwem robotników i chłopów. Jeśli biorą kogoś pod swoją specyficzną opiekę, zatapiając mu, dajmy na to, pracę lub pozwalając handlować na rogu papierosami i gumą do żucia, trzeba za to płacić. Płacisz kacykowi za to, że osiedlasz

się na ubogich peryferiach. Płacisz za to, że otwierasz na ich terenie sklep, że leczysz na ich terenie ludzi, i tak dalej. Płacisz nawet za to, że oddychasz.

— Nienawidzi ich pan?
— Z całego serca. Nielatwo z nimi wygrać, mają bowiem swoich przedstawicieli we wszystkich partiach i ugrupowaniach politycznych. Penetrują je i niszczą moralnie. Człowiek jest słaby — zawsze można przekupić go albo zagrozić mu nożem.

No i zapalił. Wziął bez pytania caro z mojej paczki i zapalił. Dałbym głowę, że od pewnego czasu walczył z nalogiem, ale rozmowa o znieprawionych kacykach szarpała mu nerwy.

— Był pan w jakiejś wiosce meksykańskiej?
— Wybrałem się — powiedziałem.
— No więc zobaczy pan, jak żyje chłop. Cztery pale przykryte kartonami lub liśćmi to jego dom. Bez ścian, bez komina, bez ku-

— W jaki sposób próbujecie ulżyć tym ludziom?

— Żeby mogli walczyć przeciwko wielkiemu kapitalowi, trzeba ich koniecznie zjednoczyć. Jest to bezwzględnie najważniejsza sprawa. Tworzymy więc związki zawodowe i zabiegamy o ich legalizację.

— Niech pan powie teraz o chłopach, którzy osiedlają się na peryferiach stolicy.

— Przybywa ich parę tysięcy każdej doby, a rocznie około miliona. Jedni zostają, drudzy odchodzą, żeby szukać szczęścia w innych rejonach kraju. W Ciudad de Mexico, czyli w Dystrykcie Federalnym, tworzą szeroki pas nędzy (cinturon de miseria), zwany także pasem bezrobocia (cinturon de desocupados). Niektórzy chwytają się dorywczych zajęć — czyszczą buty, porykają ogień na skrzyżowaniach dróg, przecierają gąbkami szyby samochodów. Niektórzy otrzymują pracę w fabrykach, w handlu, na

— I trudno chyba mieć do niego pretensję? Całe życie był biedny, całe życie był obdarty i głodny. Nagle znajduje pracę w stołecznych zakładach. Wy, partia, żądacie od niego, aby dochodził pełnym głosem swoich praw, aby w razie czego strajkował i piketował, a on drży, że wyleją go na zbity pył i znowu będzie głodny, a jego dzieci obdarte. Na miejsce po nim czekają setki innych.

— To prawda — przytaknął José Dolores Lopez. — Ale gdyby te setki również powiedziały: nie! i również zgłosiły swoje żądania, sytuacja uległaby zmianie. Zatem: jedynym wyjściem jest solidarny ruch związkowy, który objąłby trzy miliony najbiedniejszych robotników rolnych i wieśniaków. Domagamy się:

1. Poważnych kredytów dla wsi, takich, które zahamowałyby migrację chłopstwa do Ciudad de Mexico i na obrzeża innych miast przemysłowych.

2. Usprawnienia technicznego i polepszenia warunków pracy na roli, gdzie królują, jak przed wiekami, kosa i motyka, a traktor budzi strach i zdumienie.

3. Sprawiedliwego podziału produktów rolnych i sprawiedliwych wynagrodzeń za chłopski trud i znoj.

4. Zasiłków dla najbiedniejszych.

5. Prawa, aby chłopcy mogli łączyć się w związki zawodowe i dochodzić swoich roszczeń.

6. Stworzenia przez gospodarzkę i rząd miejsc pracy dla tych, którzy zmuszeni są porzucić rodzinną wieś i szukać roboty w Stanach Zjednoczonych.

— PSUM jest przeciwna tym peregrynacjom? — Zdecydowanie. Uważamy, że każdy Meksykanin powinien żyć i pracować w ojczyźnie, którą zresztą opuszcza z rozdartym sercem i wczesniej czy później do niej wraca. Z drugiej jednak strony, przyjmując, iż Meksykanie wciąż emigrują i że jest ich w USA kilkanaście milionów, domagamy się, aby Jankeci respektowali ich prawa, aby traktowali ich jako legalnych robotników, nie pariasów. Apelujemy o to, nie tylko do meksykańskiego rządu i do meksykańskiej Izby Deputowanych, lecz także do odpowiednich władz w Stanach Zjednoczonych, gdzie nasi obywatele są lekceważeni i dyskryminowani.

— I kochani?

— Nic o tym nie wiem.

3. Po powrocie do kraju zapoznałem się z artykułem opublikowanym w barcelońskiej gazecie La Vanguardia, w której podczas poprzedniej mundialu pisał między innymi światowej sławy autor peruwiański, María Vargas Llosa.

Artykuł dotyczył nielegalnej emigracji latynosów do USA. Ukazał się wiosną bieżącego roku. Niektóre zawarte w nim informacje, aczkolwiek La Vanguardia jest bez wątpienia renomowanym tytułem, budzą wątpliwości. Czytamy: nie milion, a „około trzech milionów Meksykanów oraz mieszkańców Ameryki Środkowej przekracza każdego roku „El Muro de la Enchilada”, czyli meksykańsko-amerykańską granicę, rozpościerającą się na ogromnej przestrzeni 3200 km, od Tijuana-San Isidro nad Pacyfikiem aż po Matamoros-Brownsville w Zatoce Meksykańskiej.

W Stanach Zjednoczonych emigranci mogą zarobić do 10 dolarów na godzinę (przesada!), podczas gdy w Meksyku zarabiali 5 dolarów dziennie (też przesada!) kiedy opuszczali Meksyk, 5 dolarów równało się 3500 pesos, a ustawowe minimum pozostawało na pułapie 1650 pesos).

Z innymi wnioskami artykułu można się częściowo zgodzić. „Nielegalni pracownicy są żywotnie ważnym trybikiem społecznej, ekonomicznej i przemysłowej maszyny północnoamerykańskiego kołosa. Nie tylko budują drapacze chmur w Houston, utrzymują czystość w domach El Paso i zbierają pomidory oraz szparagi w Imperialnej Dolinie Kalifornii, ale również wytwarzają komputery w Dolinie Krzemowej, produkują sztuczne serca w Kolorado, bomby neutronowe, szkła kontaktowe, pastylki na artretyzm i urządzenia rakiet międzykontynentalnych.

Dlatego też Amerykanie żywią w stosunku do „nielegalnych” przybyszów uczucia mieszane — zarówno miłość, jak i nienawiść; mają wrażenie, że „majados” pozbawiają ich miejsc pracy i bojkotują ich związki zawodowe; spoglądają na nich jak na cudaków, jak na ludzi brudnych i niewykształconych, o dziwacznych obyczajach, którzy mówią jakimś obcym językiem. Ale z drugiej strony akceptują Latynosów jako służących, którzy dbają o ich dzieci, kiedy matki idą do pracy, jako tych, którzy obniżają koszty siły roboczej i mają przed sobą zawsze otwarte drzwi do fabryk w Teksasie i Kalifornii.

Od czasu, gdy Meksykanie zbudowali drogi kolejowe w Santa Fe, które otworzyły wrota do podboju Zachodu, nielegalni pracownicy zawsze odgrywali niezwykle ważną rolę w gospodarce południa Stanów Zjednoczonych. Dziś pracują nawet na fałszywych papierach w biurach rządowych i w szkołach publicznych, a Meksykanicy są piastunkami dzieci żon szeryfów i strzągą trawę przed domami inspektorów urzędów migracyjnych.

Przygraniczny świat od Tijuany do Matamoros ma swoją własną kulturę, będącą doskonałą mieszanką kultury meksykańskiej i amerykańskiej. Jest to świat ocelotów i wężów, gigantycznych kaktusów i ujadających kojotów, taniej wódki, papryki (...) i pokoiowych zwykłych zmagów pomiędzy migra (amerykańska straż graniczna) a majados.

Akceptują to wszyscy. Wszyscy się z tym godzą!

Meksykanie, którzy żyją w Stanach Zjednoczonych — kończy La Vanguardia — są coraz lepiej zorganizowani i jest ich coraz więcej. Stanowią już znaczną siłę polityczną i z powodzeniem bronią swych interesów. Amerykanie zaś, którzy dużo mówią o niebezpieczeństwie inwazji Latynosów, wolą z prozaicznych powodów natury ekonomicznej pozostawić sprawy ich własnemu biegowi i niczego na siłę nie zmieniać. Tak, aby każdy dalej mógł spokojnie przekraczać „El Muro de la Enchilada”.

Każdy Meksykanin. Nie każdy Polak jednakże i nie każdy obcokrajowiec.

C.D.N.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chwył odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

(8)

chni. A Meksyk, proszę pana, to ogromny kraj. W jednym rejonach temperatura sięga 45 stopni Celsjusza, w innych spada poniżej zera i ludzie mrą jak muchy. Nie skarżą się, bo mają swoją godność, ale jest to straszne. Dobra. Powiem teraz panu, jak wygląda struktura meksykańskiej wsi. Otóż podzielić ją można na trzy podstawowe sektory.

1. Bogactwo. Rocas del Campo, terratenientes i burgesia agraria. Są skumani z handlem i przemysłem. Szacujemy ich na 700—800 tysięcy. Kraj liczy blisko osiemdziesiąt milionów.

2. Robotnicy rolni. Obreros agricolas. Najbardziej eksploatowana warstwa społeczna w Meksyku. Nie mają ziemi, nie mają domów, nie mają ubrań i jakichkolwiek perspektyw. Pracują, minimum, dwa-trzy miesiące w roku, a maximum — osiem miesięcy. Są ludem wędrownym. Idą, nieraz z całymi rodzinami, z wioski do wioski, z miasta do miasta, z jednego centrum pracy do innego. Rozpaczenie szukają zajęcia. Nie są zorganizowani, nikt im nie przewodzi, nikt im dotąd nie pomagał. Rząd i obszarnicy odmawiają im prawa do strajku. Nie posiadają w ogóle żadnych praw, poza prawem do śmierci. Jest ich pięć milionów.

3. Najliczniejszą grupę, siedem-osiem milionów, stanowią wieśniacy bez ziemi (pracujący u gospodarza) oraz drobni posiadacze ziemscy o majątkach poniżej dwudziestu hektarów. Rząd wykorzystuje ich bezitośnie. Pożycza im pieniądze, ale tylko po to, aby zabrać im całą produkcję.

budowie, ale ich wynagrodzenie nigdy nie sięga ustawowego minimum (1650 pesos dziennie). Zarabiają od 500 do 1000 pesos. Jest to dźwięka śmierci (jornada de la muerte). Ich córki, gdy dopisuje im uroda i szczęście, idą służyć do bogatych domów. Szczęście zamienia się szybko w nieszczęście. Są poniewierane przez matrony oraz gwałcone przez ich synów i mężów. Rodzą im dzieci.

— Gdzie mieszka taki... człowiek: chłop z pochodzenia, robotnik z konieczności?

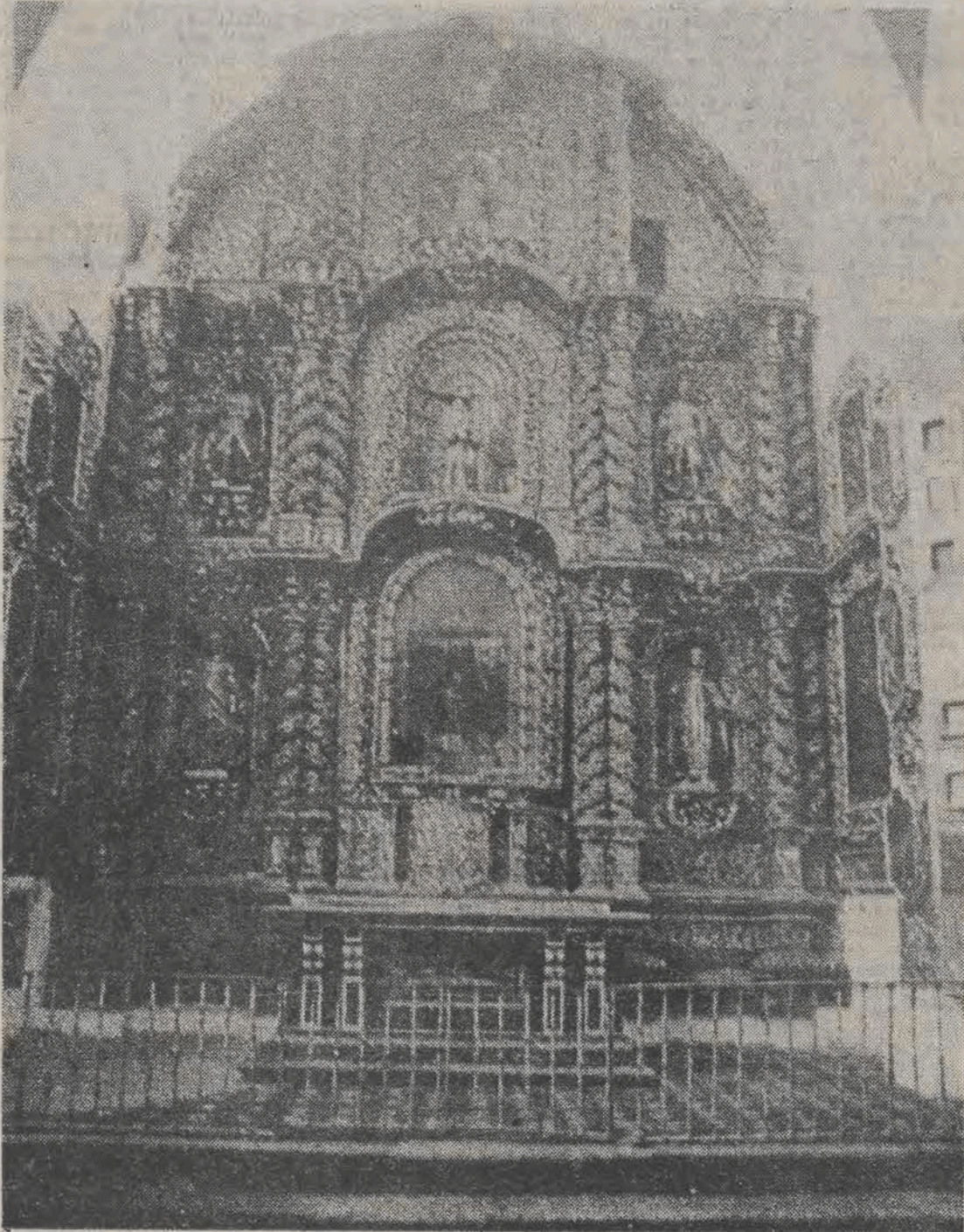
— Jeśli pracuje na budowie, stawia, powiedzmy, dom, to śpi pośród gołych ścian dopóki nie ukończy roboty, a potem przechodzi do innego domu. Są chłopcy, którzy wynajmują pomieszczenia w tak zwanych vecindades — parterowych, długich barakach, gdzie znajduje się nierzadko dwadzieścia klitek, w każdej klitce rodzina: para małżeńska, dzieci, nawet dziadkowie — a wejście do vecindad jest tylko jedno. Żeby trafić do dwudziestej klitki, trzeba przejść przez dziewiętnaście pozostałych. Wspólna kuchnia, wspólny ustęp, wspólna woda. Bójki i kłótnie. Często gorsze przestępstwa. No, ale są tacy, co w ogóle nie mają dachu nad głową, albo wędrują w chatkach z tektury. Staramy się zjednoczyć i upolitycznić napływającą ludność wiejską. Chcemy stworzyć świadomy, zwarty front przeciwko kapitalowi i wyszykiwaczom.

— Nie jest to łatwe?

— Nie. Trzeba przebudować świadomość wieśniaka, który został nagle robotnikiem.

— A on się broni?

— Tak.



Ex-convento de San Francisco en Tlaxcala.

Dlaczego my? Francuzi, to zadają sobie wszyscy pytanie, a szczególnie ranni leżący na szpitalnych łóżkach o fali terrorystycznych zamachów. Istnieje terrorystyczny „słaby”, podejmowany przez małe grupy desperatów z motywów niezrozumiałych, działających jedynie z własnej inicjatywy. Ten terrorystyczny wywołuje strach. Jednakże nie z tego, co zdarzyło się we Francji we wrześniu 1986 roku nie było dziełem przypadku. By to zrozumieć, trzeba cofnąć się daleko wstecz

KIEDY POWSTAŁ LIBAN

To, co obecnie stanowi Liban, było dawniej częścią, tak jak i Syria, Imperium Tureckiego. Gdy to ostatnie upadło przy końcu pierwszej wojny światowej, Francja otrzymała w Syrii w 1919 roku mandat administracyjny, który wygasł dopiero w 1946 pod presją Anglików.

W 1920 roku Francja utworzyła Liban, nadając mu konstytucję i czyniąc zeń państwo niepodległe, o dominacji chrześcijańskiej, Izrael jeszcze nie istniał i Liban, w swej części francuskojęzycznej, stanowił jedną wyspę chrześcijańską na islamskim środkowym Wschodzie.

Gdy Syria uzyskała niepodległość, postawiła sobie za cel: stworzyć „Wielką Syrię”. Połączyć obecną Syrię i Liban. Zamiar ten pozostawał na papierze aż do 21 stycznia 1976 roku. Tego dnia libański prezydent Sulejman Frajze — chrześcijanin, lecz orientacji prosyryjskiej — obłożony we własnym kraju przez Palestyńczyków z OWP, poprosił Syryjczyków o przywrócenie pokoju w Libanie. Dziesięcioletnia armia złożona w części z Palestyńczyków pro-syryjskiej orientacji, w części z syryjskich żołnierzy, przekroczyła granicę i usadowiła się w Libanie.

W realizacji Hafeza el-Assada był to początek realizacji jego marzenia o wielkiej Syrii. Odtąd starał się wytrwale i za wszelką cenę eliminować wszystkich tych, którzy stawali mu na drodze. Najpierw przywdział Palestyńczyków z OWP, którzy utworzyli państwo w państwie libańskim. Potem zdecydował się na politykę „wielkiej Syrii”. W 1982 roku zaatakował Liban i uwolnił go od Palestyńczyków Jassera Arafata.

NA PRZESZKODZIE FRANCJA

Teraz pozostała tylko jedna przeszkoda: społeczność chrześcijańskich, trzymających się zaciekle swych niepodległości, swych tradycji kulturalnych i religijnych. Jedynie ona wywołuje impetory pod ciśnieniem syryjskim. Lecz dysponuje poparciem Francji, która z racji moralnych, historycznych i kulturalnych przeciwstawia się ciągle jej zniszczeniu. Jest to przywilej i obowiązek Francji, nie kierowania się wyłącznie motywami handlowymi i kupieckimi. Oczywiście, można by zostawić chrześcijan w Libanie swemu losowi i życie we Francji nie uległoby zmianie. Jedynie Francuzi wyrzekliby się trochę niezależności i straciliby nieco honoru.

Są trzy powody, dla których Syryjczycy mogą być zmuszeni do poniesienia swych marzeń. Po pierwsze — z powodu społeczności syryjskiej, która stanowi prawie 40 proc. Libańczyków. Nie wszyscy syryjczyci skłaniają się ku fanatyzmowi religijnemu. Mogą nawet, w pewnych warunkach, przyłączyć się do obozu chrześcijańskiego lub nawet izraelskiego. Syryjczycy są w przeważającej większości sunnita-

Wrześniowe zamachy terrorystyczne wstrząsnęły nie tylko opinią publiczną Francji, Francuzi szukają wyjaśnienia przyczyn tych zamachów. Zajmują się tym nie tylko służby specjalne, ale i publicyści, reporterzy. Prezentujemy

poniżej opracowanie powstałe z publikacji zamieszczonych w „Paris Match”. Prezentuje ono punkt widzenia niektórych kół francuskich. Czy taka rzeczywistość jest prawdą?

We Francji szuka się inicjatorów terronu

mi i niewiele wspólnego istnieje między nimi i syryjczykami.

Po drugie — Syria jest u kresu sił ekonomicznych. Okupacja Libanu kosztuje drogo, konieczność utrzymania silnej armii jeszcze drożej, a kraj produkuje mało.

Po trzecie — Syria ma kłopoty wewnętrzne. Próby zwołania „Braci Muzułmańskich” nie powiodły się. Również Irakijczyki nadal pragną zmian w Syrii. Istnieje poza tym możliwość konfliktu z Izraelem, zdolnym zbурzyć Damaszek w ciągu kilku minut.

Syria nie może pozwolić na prowadzenie klasycznej wojny. A więc podejmuje wojnę dywersyjną. Jej celem jest wyeliminowanie francuskiej obecności w Libanie.

FRANCJA — PAPIEROWY TYGRYS

22 kwietnia 1982, samochód pułapka eksplodował na ulicy Marbeuf 33, gdzie schronił się antysyryjski dziennik „Al Watan Al Arabi”: 2 osoby zabite, 62 rane. Kilka dni później, mer Paryżu Gaston Defferre wydał dwóch „dyplomatów syryjskich”: Ali Hassana, siostrzeńca szefa państwa syryjskiego i Mikhaïla Kassouha. Francuzi kontrwywiad twierdzi, że posiada niezbitą dowody, że są oni organizatorami zamachu.

„Al Watan Al Arabi” ujawnił odpowiedzialność Damaszku za zabójstwo ambasadora Francji Louisa Delamare w Bejrucie 4 września 1981, zorganizowane przez pułkownika Ghane-ma, kierownika syryjskich służb specjalnych w Libanie.

Na tydzień przed wypadkiem na ulicy Marbeuf, Syryjczycy uderzyli również w Bejrucie, zabijając Guy Cavallo, szefanta ambasady francuskiej oraz jego żonę. Zabójca — niejaki Hassan Attih — agent syryjskich służb specjalnych użył do ucieczki białego Peugeota 504, należącego do parku samochodowego komendanta Noureddina, szefa syryjskich służb in-

formacyjnych w Bejrucie...

23 października 1983 dokonano zamachu na koszarach Drakkar, gdzie zabito 58 francuskich spadochroniarzy. Obecnie wiadomo, że odpowiedzialnym za tę akcję był syryjski pułkownik Abdel Dyab.

Odpowiedź ze strony francuskiej jest miękka, jak to nalegodniej można by rzec.

Francja dokonuje rajdu powściągniętego na koszarach hezbollahów w Baabek, zabijając cztery osoby i jednego pastucha Guai d'Orsay grzeźnię uprzedziło Syryjczyków o zamierzonej operacji, którzy wykuwali ludzi...

W Syrii doszły do wniosku, że Francja jest papierowym tygrysem. Cały szum antyterrorystyczny po zamachu na ulicy Marbeuf zakończył się fiaskiem. Ponadto sytuacja zmienia się na niekorzyść Francji.

DECYDUJĄCY CIOS

Francuzi uważają, że w Syrii niektórzy politycy doszli do przekonania, że teraz można zadać ostatni cios. Amerykanie i Francuzi odeszli z Libanu. Izraelczycy powrócili w pobliże swych granic. Chrześcijanie maronici są podzieleni. A Francja wydaje się słabą politycznie — z powodu przywódcy. Co więcej, Jacques Chirac jest przywódcą Iraku, zaprzysięgłym wrogiem Syrii i trzeba go zniszczyć w pierwszym rzędzie. Lecz zdecydowanie uderzyć przy pomocy terrorystów podstawionych.

Hafez el-Assad kieruje operacją „destabilizacji”, generalowi Khoull, bierąc wieloma grupami terrorystycznymi. Francuski wywiad uważa, że wykorzystują on Abou Nidala u uchodźcę palestyńskiego, który przebywa w Damaszku, Ahmeda Jibrila i Abou Moussa — szefów terrorystów palestyńskich, którzy, po zerwaniu z Yasserem Arafatem, udali się pod opiekę syryjską.

Przed uderzeniem przeprowadzono we Fran-

cji operację dezinformacji. General Tlass, wysoki funkcjonariusz syryjski, obronił pracę doktorską w Paryżu, Hafez el-Assad manifestował chęć pomocy Francji w próbach uwolnienia zakładników, zapraszał dziennikarzy francuskich do Damaszku i zapewniał Francję o swej całkowitej sympatii. Francuscy zakładnicy są przetrzymywani w strefach kontrolowanych przez oddziały syryjskie. Tak uważa się we Francji. Ale Hafez el-Assad utrzymuje, że nie wie, gdzie się znajdują i że nie zna porwaczy.

W roku 1981, prawie wszyscy członkowie „Akcji Bezpośredniej” są pod kluczem, a wśród nich założyciele: Nathalie Ménigon i Jean-Marie Rouillon na ulicy Pergolèse w Paryżu. Jedynie Max Frérot pozostał na wolności. W 1982 r. uwolniono wszystkich członków Action directe z wyjątkiem jednego, Mohanda Hamana, siostrzeńca ważnego członka algierskiego służb specjalnych. Zarzucano mu udział w napadzie rabunkowym. Gisèle Halimi — adwokat i wpływała członkini partii socjalistycznej przybyła jednak na pomoc i spowodowała jego zwolnienie. Nieco później, Georges Ibrahim Abdallah został aresztowany w Lyonie. Kto mu zapewnił adwokata. Oczywiście Mohand Hamani. Ci dwaj ludzie są ze sobą bardzo mocno związani.

Kiedy Mohand Hamani został ponownie aresztowany, Gisèle Halimi jest znowu na miejscu i Mohand Hamani wraca na wolność. Na wolność, którą wykorzystuje kilka miesięcy później, aby zabić dwóch policjantów na ulicy Trudaine, w czasie napadu mającego sfinansować „Akcję Bezpośrednią”. Ucieka do Algierii, obawiając się, że jego dotychczasowa opiekunka, zostawiając w tym czasie reprezentantką Francji, przy UNESKO, nie będzie miała już wystarczająco długich rąk.

W roku 1986 po aresztowaniu Georgesa Abdallah członkowie „Akcji Bezpośredniej” zaprzestali jakichkolwiek kontaktów z F.A.R.L. z powodów bezpieczeństwa. W końcu kwietnia 1986 r. general Khoull organizuje supersekretną zebranie w Damaszku. Trzy miesiące później Hafez el-Assad składa w Trypolisie wizytę pułkownikowi Kadafiemu. W końcu kwietnia 1986 Francja wydalila dwóch dyplomatów libijskich, po znalezieniu u nich znacznych ilości materiałów wybuchowych.

Do szturmu ruszyła rodzina Abdallahów.

NURTUJĄCE PYTANIE

Czy to będzie dalej trwało?

Potrzeba znaleźć nowych wykonawców może wykluczyć zamachy co najmniej na kilka tygodni. Ich inicjatorzy nie są pozbawieni rozumu i nie mają zamiaru odejść się z machiną policyjną, rozkręconą obecnie i polityczną stanowczością, podtrzymywaną przez opinię publiczną. Sposób w jaki przyznanie zareagowali na strategię francuska na pewno rozczarował jego autorów. Francja wygrała batalię, nie poddała się terrorystom, lecz nie należy mieć iluzji: będą następni zabić i ranni...

Opracował:
W. L. KOBIELA

Z OSTATNIEJ CHWILI: Minister spraw wewnętrznych Francji — Charles Pasqua oświadczył, że Francja nie wiąże zamachów terrorystycznych w Paryżu z żadnym krajem arabskim, a z Syrią podlega współdziałaniu w zwalczaniu terronu. Natomiast Wielka Brytania zerwała stosunki dyplomatyczne z Syrią, oskarżając tym Damaszek o popieranie terronu. Do tematu wrócimy.

Gwiazdny pył czyli nieszczęśliwe dzieci wielkich aktorów

Urodzili się w świecie, w którym ich rodzice są tak czerzeni jak półbogowie. Na początek mają wszystkie przywileje: urodę, pieniądze, sławę. Wspólny wszystkim im jest wielki problem własnej tożsamości. Za cenę figurowania w czołówkach Hollywoodu spalają swe życie i stają się smutnymi bohaterami i krótkimi towarzyszami. Obrzucając pieniądze i często złekochane dzieci gwiazd — znoszą sławę rodziców jak przekleństwo.

Rodzice bywają w pałacach, na scenach przed ekranami kin, na wyspach miliardarów. Latorośle odpowiadają korytarze komisariatów, mieszkają w klinikach odwykowych, biwakują przed salami sądowymi, a ich drugim mieszkaniem są poczekalnie szpitali psychiatrycznych. Czyli synowie, ale nie czyje dzieci — oto potomkowie gwiazd, dzieci urodzone w niedziale.

Wystarczy otworzyć gazety. Griffin O'Neal, syn Ryana O'Neala, zabiera na szlagacz Juana-Carla Coppola, syna reżysera. Obydłają mają po dwa-dziesiąt lat. Dzieje się to w Marylandzie, gdzie Francis Coppola kręci „Kamienne ogrody”. Łódź pędzi na ziarnianki karu po South River. Kieruje Griffin. Przy szybkoci, z jaką prowadzi, za późno

jest na uniknięcie stalowej liny przeciągniętej z jednego drzewa na drugie pomiędzy barkami. Juan-Carlo ginie na miejscu, Griffin jest ranny. W czasie śledztwa jest znane, że w momencie wypadku przy sterze stał Juan-Carlo. Kłamstwo. Fakty z jego przeszłości to narkotyki, kradzież, ucieczki, gwałty, aresztowania, więzienie, odwyk. Pewnego dnia uczynił takie oto zwierzenie:

„Odkąd skończyłem osiem lat, większość nocy spędzam na przekonywaniu się, że należałoby zasnąć. Nie zawsze mi się to udaje”.

Lisa-Marie Presley, córka Elvisy i Priscilli — osiemnastoletka. Nikt nigdy nie widział jej uśmiechniętej. Na przedniej szybie swej starej porzucanej Toyoty przykleiła nalepkę, której treść brzmiała jak wyznanie wiary:

„Różne są zerwane, flaki i flakowe. A ja jestem szloch”.

Kiedy skończy dwadzieścia pięć lat, odziedziczy po ojcu pięćdziesiąt milionów dolarów. Wiadomo już, że prawdopodobnie powiększa ona kapitał handlowy „Kościoła Sejentologii”, sekty, która zajęła się nią przed laty. Bóg jednak wie, że matka ją kocha i że zrobiła

wszystko, absolutnie wszystko, aby ona była szczęśliwa. Oto dowód — wyznała to wszystkim czasopismom! To prawda, że bała się ciąży, która mogła zniekształcić jej doskonale ciało z zimnej porcelany, ale czy nie stroiła Lisy-Maril w biżuterię, kiedy ta była dzieckiem? Czy nie zapewniała jej najlepszych nianiek? Nie zapisywała do różnych instytucji przeznaczonych dla wyższych sfer? Do najkosztowniejszych ośrodków reedukacji, gdzie uczęszczały dzieci, jak przezycie, że nadużywanie alkoholu, leków i narkotyków? A kiedy sama udawała się na jakieś party, które się przedłużały, czy nie telefonowała do swej rezydencji, aby wrócić z ust służby otrzymała informację na temat snu córki? Dzieci są niewdzięczne.

Dziesiąt Lisa-Marie przygotowała się do roztrwonienia swego dziedzictwa na rzecz podejrzanych guru: jak można nie wzruszać się niepokojem wzorowej matki?

„Doktorze, nie wiadomo już, co robić. Czy pan rozumie? Co im dać? Co im powiedzieć? Mają wszystko i nigdy nie są zadowolone. Proszę się zapieknąć... Mój kstęgowy zajmie się pana dzieckiem”.

Jakieś sześć miesięcy temu w okolicy Las Palmas i Hollywood Boulevard w plugawym getcie narkomanów i handlarzy narkotyków, pod sterą starych zginiłych kartonów i wszelkiego śmiecia odkryto zwłoki dziewczyny zmarłej od przedawkowania narkotyku. Nazywała się Hugues, tak jak najdziej znaną dynastia właścicieli amerykańskich supermarketów, której była dziewczynką. Urodzona w czepku nie zniósła, być może, tego braku czułości, we własnym otoczeniu, który ma swe źródło

w pewności płynącej z fortuny. Nie ona pierwsza i nie ona ostatnia.

Historia Hollywoodu jest tylko ciągiem zawiadomień o urodzinach i zgonach, poznałym okrucieństwami gwiazd, którym pozwolono istnieć jeden dzień i nie mając innego wyboru tylko umrzeć. Rubryka towarzyska, wymieniając ich imiona po raz pierwszy i po raz ostatni, przypomina im tożsamość, której zagadkę zabierają do grobu: Jonathan Peck, syn Gregory'ego — strzelił sobie w głowę, Scott Newstan, syn Paula — samobójstwo przez przedawkowanie narkotyku, Michel Boyer, syn Charlesa — rosyjska ruletka, Liza Minnelli, córka Judy Garland i Vincente Minnello — była szkodliwym pensjonariuszka ośrodka odwykowego. Gary Lewis, zamykający — sto razy zamykany za alkoholizm, Victoria Sellers, córka Petera — kochanka szefa gangu, zatrzymana za przemyt narkotyków. Kiedy miała piętnaście lat, spotkała się z objawem niechęci matki: Britt Ekland na prośbę fotoreportera o sfotografowanie jej z córką odpowiedziała: „Nie zależy mi na tym. Ona nie jest zbyt ładna”.

Niektórych kochano, innych mniej. Niektórzy zostali dobrze wychowani, inni nie. Nieważne. Tym, co mają wspólnego, jest siła i fortuna ich rodziców. No i nazwisko ojca, które ich przynosiła z nim ciemniem. Mogą się z nim zrównać, mogą przewyższyć, wpędzić w rozpacz, zabić — zabijając się samemu. Ale wyrwać z korzeniami jego obrazu nie uda się im nigdy. To ten obraz wyznacza, jak na kpinie, granice wolności, w ramach której każdy ma zapisać swoje przeznaczenie. Jeśli tatuś jest policjantem, syn będzie policjantem lub złodziejem. To zależy, czy przeciwstawi się oj-

cu, czy będzie go naśladował, czy się przypodobać. Ale w obydwu przypadkach będzie uzależniony od słowa, które warunkuje jego poddanie się bądź rewolcie — od słowa „głina”. Prawdziwy dramat zaczyna się, kiedy tatuś jest ministrem spraw wewnętrznych lub Frankiem Sinatra — to matnia! Kiedy ochrzcił cię Juniolem, jak możesz stać się Seniolem?

Bywa jeszcze gorzej. W wielkich dynastiach finansistów słowno zostaje zastąpione suchą cyfrą: Rockefeller I, II, III itd. W najlepszym razie będzie się tym II. Ale geniusz to przysięga. Nie jest przekazywany w genach. W boksie to silny cios, w music-hallu — charyzma. W życiu — talent.

Najgorsze, co można uczynić dziecku, to przysięgać je tym, co co wcale nie prosiło, nie pozostawiając mu najmniejszej szansy na realizację pragnień. W wieku sześciu lat cała ta mieszanina gronostajów, szoferów, szmaragdów, psieków, elektronicznych samochodzików i kamerdynerów w liberrii jest śmiertelna.

Bo najgroźniejszym z braków jest brak braku. Nieobecność pragnienia. Albo jeszcze gorzej: pragnienie do tego stopnia, że nie bywa nigdy wyrażone: kochaj mnie!

Tylko, że w Hollywood dawno już temu czułość, ten luksus biuńskich, zniknęła z pótek sklepowych. Miasto jest twarde i czyniło swój herb. Nikt nie ma czasu dla nikogo. Wszyscy mówią, nikt nie słucha. Każdy marzy, by brać, nikt nie chce dawać. Getta: psy w schroniskach, dzieci w domach starców i białego marmuru Urodzić się w puchu, żyć w norach przetrwać dzięki noż-

sku i umrzeć jak idiota: kiedy bogactwo sprowadza się do jednego słowa — „mieć” — jest przerażające.

Uwaga: dzieci patrz na nas. Zimnym przegladem smutnego starca wzykają się z pogardą idiomem naszej planety, którzy jej kochają za pośrednictwem wychowawców i nianiek. W tym sensie Hollywood wiąże się do wielkiej tradycji antycznych płaczek, opłaczających za lamentowanie zamiast tych, którzy powinni się smucić. Ponieważ miejsce wystarczy tylko dla siebie samego, dziecko odegrywa rolę, kaszaniak, pilnowanie dzieci.

Niektórzy się z tego wyciągają, jak Jane Fonda, czy Tatum, córka Ryana O'Neal, wychowana zresztą w taki sam sposób jak jej brat. Wszyscy cytują jako przykład rodzinę Douglasów. Najstarszy, Michael, jest również sławny jak jego ojciec, a i pozostali dwaj synowie Kirka stanowią model powodzenia i zrównoważenia. Nie jest to jedyny wyjątek. Poznałem jeszcze dwa inne przypadki. Byli piękni, mieli po dwadzieścia lat. Znałem tylko ich imiona: Aline i Michael. On przyznał się ze śmiechem, że aby zarobić na życie, pracował na stacji benzynowej. Ona wyznała, że próbowała sprzedać swoje rysunki. Kiedy siedzieli za stołem, pozerali się wzrokiem. Byliśmy od dawna zaprzyjaźnieni, kiedy przez przypadek poznałem ich nazwiska: Michael Walding, syn Liz Taylor i Aline Getty, wnuczka Paula Getty, najbogatszego człowieka świata.

Tak, ale oni się kochali...

PIERRE REV
 („Paris Match”)
Tłum.: J. G.

— Czy później będziemy razem?
— Tak, zobaczysz go, Ernestyno... obiecuję ci, że zobaczysz go bez względu na to, ile by miało mnie kosztować... w jakimkolwiek miejscu by nie był... zobaczysz go z pewnością... A jaka będzie nagroda za me usługi?

— Korzystaj z uroku czynienia ich, hrabio, to najbardziej pochlebające dla wrażliwej duszy.

— Kupię ją za cenę poświęcenia, jakiego żadasz, to zapłacić zbyt drogo, Ernestyno; sądzisz, że wielu ludzi byłoby zdolnych do takiego wysiłku?

— Im więcej będzie cię to kosztować, tym bardziej, w mych oczach, będziesz godny szacunku.

— Ach! jak chłodny jest szacunek, by wyrównać uczucie, jakie do ciebie żywię!

— Czy nie powinieś jednak nim się zadowolili, skoro to wszystko, co możesz ode mnie otrzymać?

— Nigdy... nigdy... mówi wówczas hrabia, rzucając wściekle spojrzenia na to nieszczęśliwe stworzenie... I, podnosząc się natychmiast, by ją opuścić: — Nie znasz, Ernestyno, duszy, którą doprowadzasz do rozpacz... zaślepiona dziewczyno... Nie, nie znasz tej duszy, nie wiesz, do czego mogą ją doprowadzić i twa pogarda, i lekceważenie.

Łatwo się domyślić, że te ostatnie słowa zaniepokoiły Ernestynę; zakomunikowała je natychmiast pułkownikowi, który, zawsze pełen ufności w uczciwość senatora, daleki był od tego, by widzieć w nich sens, jaki nadała im Ernestyna; łatwowierny Sanders, zawsze ambitny, powracał kilkakrotnie do projektu przedkładania hrabiego nad Hermana; ale córka przypomniała mu jego słowo; prawy i szczerzy pułkownik był jego niewolnikiem, uległ kom Ernestynie i obiecywał przypominać senatorowi o obietnicach, jakie ten złożył im obojgu, albo też odstawić córkę do Nordkopingu, jeśli odkryje, że Oxtiern nie ma zamiaru być szczerzy.

W krótkim czasie ci prawi ludzie, nieszczęśliwie oszukani, otrzymali listy od pani Scholtz. Usprawiedliwiali one milczenie Hermana; miał się on jak najlepiej, ale obarczony koniecznością oddania rachunków, w które wkradł się nieco chaosu, co należało przypisać jedynie zmartwiieniu Hermana oddalonego od ukochanego, zmuszony został skorzystać z pomocy swej dobrodziejki, by przekazać nowiny swym najlepszym przyjaciołom; zaklinał ich, by się nie niepokoił, ponieważ nie dalej niż za osiem dni pani Scholtz sama sprowadzi go do Sztokholmu do stóp Ernestyny.

Listy te uspokoiły nieco, choć nie w pełni, czułą kochankę...

Jeden list został napisany — mówiła — dla czego Herman nie zadał sobie ponownie trudu? Powinien łatwo się domyślić, że pokładałabym więcej wiary w jednym jego słowie niż w dwudziestu epistolach kobiety, wobec której tyle powodów skłania do nieufności.

Sanders uspokajał córkę i ufna Ernestyna ulegała chwilowo staraniom pułkownika. Lecz niepokój powrócił wnet, by językami ognia trawić jej duszę.

Tymczasem sprawa Hermana wciąż się posuwała. Ale senator, który widział się z sędzią, nakazał im najwyższą dyskrekcję; oświadczył, że jeśli postępowanie sądowe stanie się jawne, wspólnicy Hermana, zaopatrzeni w pieniądze, uciekną do obcych krajów, jeśli jeszcze tego nie uczynili, i wobec środków bezpieczeństwa, jakie poczynią, nie będzie można już rzeczo odzyskać; ta specjalna racja skłoniła urzędników sądowych do całkowitego milczenia; tym sposobem wszystko działo się w mieście, w którym mieszkała Ernestyna i jej ojciec, a oboje o niczym nie wiedzieli, i nie było możliwości, by cokolwiek doszło do ich wiadomości.

Taka była sytuacja, gdy pułkownik, po raz pierwszy w życiu, został zaproszony na obiad do ministra wojny. Oxtiern nie mógł go tam zaprowadzić; sam, jak mówił, miał tego dnia dwudziestu gości, ale nie zapomniał zaznaczyć Sandersowi, że łaska ta była jego dziełem, a także przestrzec, że nie można uchylić się od takiego zaproszenia. Pułkownik nie chciał być niepunktualny, choć wiele jednak brakowało, by ten zdradziecki obiad miał przyczynić się do jego szczęścia; ubrał się najbardziej odpowiednio jak mógł, polecił swą córkę opiece pani Plorman i zjawił się u ministra.

Nie minęła godzina jak się tam udał, gdy Ernestyna ujrzała wchodzącą panią Scholtz; wymieniono zdawkowe grzeczności.

— Spiesz się — mówi do niej kucpowa — i pędźmy razem do hrabiego Oxtierna, dopiero co sprowadził Hermana; przysłał w pospiechu zawiadomienie cię, że twój opiekun oraz ukochany czekają z niecierpliwością.

— Herman?

— We własnej osobie.

— Czemu nie towarzyszył ci aż tutaj?

— Swoje pierwsze kroki skierował do hrabiego, był mu to niewątpliwie winien senator, który cię kocha, poświęca się dla tego młodego człowieka; czyż Herman nie powinien być mu wdzięczny?... czyż nie byłby niewdzięcznikiem zapominając o tym?... Ale, jak widział, obaj wysłali mnie do ciebie z pospiechem... Dziś dzień ofiar, panienko — kontynuowała Scholtz, rzucając ze spojrzenia na Ernestynę — chodźmy razem zobaczyć jak się spełniają.

I ta nieszczęśliwa dziewczyna, wahał się pomiędzy ogromnym pragnieniem, by pędzić tam, gdzie, jak jej mówiono, był Herman; i obawą przed ryzykownym krokiem jakim było pójście do hrabiego w czasie nieobecności ojca, nie wiedziała, co ma wybrać; sądziła, że, w tym wypadku, wobec ponaglenia pani Scholtz, powinna poradzić się ciotki Plorman i prosić, by ona lub też kuzyn towarzyszył jej. Ale Sindersena nie było w domu, a wdowa Plorman zapytana odpowiedziała, że pałac senatora jest zbyt przyzwyczajony, by młoda osoba, udając się tam, cokolwiek ryzykowała; dodała, że jej bratanica powinna znać ten dom, skoro była w nim wielokrotnie z ojcem, a zresztą, gdy Ernestyna uda się tam wraz z damą stanu i wiekiem panią Scholtz, nie będzie z pewnością żadnego niebezpieczeństwa; że chętnie przyłączyłaby się do niej, gdyby od dziesięciu lat nie dokuczały jej okropne bóle.

— Ale nie ryzykujesz niczym, bratanico — ciągnęła Plorman — idź zupełnie bezpiecznie, dokąd chcesz, powiadom pułkownika, gdy się pojawi aby mógł cię wkrótce odnaleźć.

Ernestyna, zachwycona radą tak zgodną z jej zamiarami, wskazuje do powozu pani



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ernestyna

Nowela szwedzka (5)

D. A. F. DE SADE

Scholtz, i obie przybywają do senatora, który przyjmuje je w drzwi swego pałacu.

— Biegnij, czarująca Ernestyno — mówi podając jej dłoń — chodź cieszyć się swym triumfem, poświęceniem pani Scholtz i moim, chodź się przebrać, że we wrażliwych duszach wspaniałomyślność bierze górę nad wszelkimi uczuciami.

Ernestyna nie mogła pohamować radości, jej serce drżało z niecierpliwości, i jeśli nadzieja szczęścia przydaje urody, nigdy z pewnością Ernestyna nie była bardziej godna holdów całego świata... Pewne okoliczności zaniepokoiły ją jednak i osłabiły słodkie wzruszenie, jakie nią owładnęło. Chociaż było południe, nie pojawił się nikt ze służby... w domu panowała pęsepnia cisza; nie odczytano się słowem, drzwi zamknięto starannie, gdy tylko je minęła, zaś w miarę jak się posuwało mrok stawał się coraz bardziej gęsty; i te środki ostrożności tak przeraziły Ernestynę, że, gdy weszła do pomieszczenia, w którym chciała ją przyjąć, była niemal zemdlna. Znalazła się tam w końcu; był to dość obszerny salon z oknami wychodzącymi na plac publiczny; ale wszystkie okna były zamknięte; jedno tylko, lekko uchylone, pozwalało kilku promieniom słońca przeniknąć poprzez zawieszony w nim zasłonę, i gdy Ernestyna weszła, w pomieszczeniu nie było nikogo. Nieszczęśliwa ledwie oddychała, widząc jednak, że bezpieczeństwo zależy od jej odwagi, mówi z zimną krwią:

— Panie, co oznacza ta pustka, ta przerażająca cisza?... Drzwi tak starannie zamknięte, okna, które pozostawiają światu tylko lekkie dostępy, tyle środków ostrożności, by mnie zaniepokoił; gdzie jest Herman?

— Siadaj, Ernestyno — mówi senator umieszczając ją pomiędzy panią Scholtz a sobą... uspokój się, i słuchaj. Moja droga, bardzo wiele się wydarzyło, odkąd opuścił Nordkoping; ten, któremu ofiarowałeś swe serce, dowiódł niestety, że nie był godzien go posiadać.

— O Boże! przerażasz mnie.

— Twój Herman jest zbrodniarzem, Ernestyno — musimy wiedzieć czy nie brałaś udziału w zuchwałej kradzieży, jakiej dokonał u pani Scholtz; jesteś podejrzana.

— Hrabio — mówi Ernestyna wstając — z równą szlachetnością jak i stanowczością, wydała się twa szwaczka. Pojmuję mą nieroztropność... jestem zgubiona... znalazłam się w rękach mych największych wrogów... nie uniknę czekającego mnie nieszczęścia... I padając na kolana z ramionami wzniesionymi ku niebu: — Boże — wykrzyknęła — mam tylko ciebie za protektora, nie pozostawiaj niewinnej w niebezpiecznych rękach zbrodni i lotrostwa!

— Ernestyno — mówi pani Scholtz podnosząc ją i sadząc obok siebie na siedzeniu, które ta przed chwilą opuściła — nie trzeba przyzywać Boga, lecz odpowiedzieć; senator wcale cię nie oszukuje, twój Herman ukradł mi sto tysięcy dukatów, i był w przededniu uprowadzenia cię, gdy wszystko szczęśliwie się wydało. Herman został zatrzymany, ale kapitały nie odnalazły się, on zaprzecza jakoby je sprzeniawierzył; a to pozwala przypuszczać, że znalazły się one w twoich rękach; tymczasem sprawa Hermana przybrała najgorszy obrót; świadkowie zeznają przeciw niemu; wiele osób z Nordkopingu widziało go wychodzącego nocą z mego domu z workami pod płaszczem; przestępstwo jest więcej niż dowiedzione, i twój ukochany znajduje się w rękach sprawiedliwości.

Ernestyna: — Herman winny, Ernestyna podejrzana, i ty, panie, uwierzyłeś w to?... Mogiesz w to uwierzyć?

Hrabia: — Ernestyno, nie mamy czasu ani dyskutować nad tą sprawą, ani myśleć o czymś innym niż o jak najszybszym zarządzeniu jej. Nie mówiąc ci o niczym, nie martwię cię na próżno, chciałem wiedzieć wszystko zanim poczynię kroki, do jakich dziś się posunąłem; przeciw tobie są tylko podejrzenia, oto dlatego oszczędziłem ci okropności poniżającej niewoli. Byłem to winien twemu ojcu, tobie, dlatego to uczyniłem; ale dla Hermana, on jest winny... Jest gorzej, moja droga, powiem to słowo drżąc... został skazany.

Ernestyna blednąc: — Skazany, on... Herman... sama niewinność... O Boże!

— Wszystko można naprawić, Ernestyno — podjął żywo senator podtrzymując ją ramieniem wszystko można naprawić mówię ci... Nie opieraj się memu plomieniom, okaż mi względy, jakich żądam, biegnij po sędziów...

... są tutaj, Ernestyno — mówi Oxtiern pokazując w stronę placu — zebrał się, by zakończyć tę okrutną sprawę... Pędzę do nich... niosę im sto tysięcy dukatów, zapewniam, że to ja się pomyliłem, a pani Scholtz, która odstępuje od wszelkich kroków sądowych przeciw Hermanowi, tak samo zaświadcza, że w rachunkach dokonanych ostatnio jest całość, że suma ta została podwójnie użyta; jednym słowem, ratując twego ukochanego... uczynię więcej, dotrzymam słowa, jakie ci dałem, osiem dni później uczynię cię jego żoną... Powiedz, Ernestyno, i nie traćmy czasu... pomyśl o sumie, jaką poświęcam... o zbrodni, o jaką jesteś podejrzana... o przerażającej sytuacji Hermana... o szczęściu, jakie cię w końcu czeka, jeśli zaspokoisz me pragnienia.

Ernestyna: — Mam się oddać takim okropnościom kupić za tę cenę przebaczenie zbrodni, której ani Herman, ani ja nie byliśmy nigdy winni!

Hrabia: — Ernestyno, jesteś w mojej mocy; to, czego się obawiasz może mieć miejsce bez twojej kapitulacji; oddając ci ukochanego pod warunkiem przysługi, którą mógłbym otrzymać bez tej klauzuli, robię dla ciebie więcej niż powinienem... Czas nagli... Za godzinę będzie to późno... za godzinę, Herman umrze, a ty i tak zostaniesz zhańbiona... Pomyśl, że odmowa zgubi twego ukochanego, a nie zachowa twego wstydu, i że poświęcenie go, gdy szacunek dlań jest urojeniem, przywróci życie temu, który jest ci drogi... coś mówię, zaraz odda go w twe ramiona... Łatwowierna i fałszywie cnotliwa dziewczyno, nie możesz zastanawiać się nie okazując karygodnej słabości... nie możesz uniknąć zbrodni; zgadzając się, tracisz tylko dobro urojone... odmawiając, poświęcasz człowieka, a człowiek ofiarowany przez ciebie jest ci najdroższym w świecie... Zdecyduj się, Ernestyno, zdecydować się, a dając ci nie więcej niż pięć minut.

Ernestyna: — Rozważyłam już wszystko, panie; nigdy nie można popełnić zbrodni i rzucić jej na kogoś innego. Znam dostatecznie mego ukochanego, aby być pewną, że nie chciałby cieszyć się życiem, które zostało okupione moim honorem, tym bardziej nie poślubiłby mnie po napiętnowaniu; stałabym się zatem winna, a on nie byłby bardziej szczęśliwy, stałabym się winna nie ratując go, ponieważ nie przeżyłabym z pewnością takiego nadmiaru okropności i potwarzy. Pozwól mi zatem wyjść, panie, nie bądź większym zbrodniarzem niż. Jak podejrzewam, już jesteś... Pójdę umrzeć obok mego ukochanego, pójdę podzielić jego straszliwy los, zgine przynajmniej godna Hermana, a wolę umrzeć cnotliwa niż żyć w hańbie...

Wówczas hrabia wpada w szal...

— Wyjść ode mnie — mówi — otoczona miłością i wściekłością, umknąć nim zostanie usatyfakcjonowany, nie miej takiej nadziei, nie ludź się, dziekie stworzenie. Pręcej piorun uderzy w ziemię, niż uwolnię cię nim posłużysz mej namiętności — mówi biorąc nieszczęśliwą w ramiona...

Ernestyna chce się bronić... ale na próżno... Oxtiern jest szaleńcem, którego przedsięwzięcia budzą grozę...

— Chwile... chwile... — mówi pani Scholtz, — jej opór pochodzi, być może, z wątpliwości.

— To możliwe — mówi senator — należy ją przekonać.

I biorąc Ernestynę za rękę, ciągnie ją ku jednemu z wychodzących na plac okien i otwiera je pospiesznie.

— Patrz, perfidna — mówi jej — widzisz Hermana i szafot?

Rzeczywiście, był tam wzniesiony ów krwawy teatr, a nieszczęśliwy Herman, gotów do oddania życia, znajdował się u stóp spowiednika... Ernestyna poznaje go... chce krzyknąć... rzuca się... słabną jej członki... opuszczają zmysły, pada jak kłoda.

Wszystko zatem przyspiesza perfidne zamiary Oxtierna... Chwyta on nieszczęśliwą i, bez przestrachu stanem, w jakim się znalazła, osmiela się spełnić swą zbrodnię, osmiela się oddać wybrzykowi wściekłości to godne szacunku stworzenie, które Bóg przez zapomnienie rzuca na pastwę najstraszliwszego uniesienia. Ernestyna zostaje zhańbiona nie odzyskawszy zmysłów; w tej samej chwili oddany został mieczowi sprawiedliwości nieszczęśliwy rywal Oxtierna; Hermana już nie ma.

Całym wysiłkiem woli Ernestyna otwiera w końcu oczy; pierwszym słowem, jakie wymawia jest imię Hermana; pierwszym pragnieniem,

sztyt... Wstaje, odwraca się w stronę tego okropnego, nadal uchylonego, okna, chce doń pospieszyć, nie pozwalając jej; pyta o swego ukochanego, mówią jej, że już nie żyje, i że tylko ona jest winna jego śmierci... Drzy... popada w obłąd, bezładne słowa wydobywają się z jej ust... przerywa je szlochaniem... tylko lzy nie chcą płynąć... Dopiero wtedy, gdy spostrzeża, że właśnie stała się lupem Oxtierna... rzuca mu wściekle spojrzeństwo.

— Więc to ty, zbrodniarzu — mówi — więc to ty wydarłeś mi jednocześnie honor i ukochanego?

— Ernestyno, wszystko można naprawić — mówi hrabia...

— Wiem o tym — mówi Ernestyna — i wszystko niewątpliwie zostanie naprawione; ale czy mogę wreszcie wyjść, czy twoja wściekłość została nasycona?

— Senatorze — wykrzykuje pani Scholtz — nie pozwólmy umknąć tej dziewczynie... ona nas zgubi; cóż nas obchodzi życie tej kreatury... Niechże jej utraci, a jej śmierć zapewni nam bezpieczeństwo.

— Nie — mówi hrabia. — Ernestyna wie, że skargi na nas zdalyby się na nic; utraciła ukochanego, ale może uczynić wszystko dla fortuny swego ojca; jeśli będzie miłoczyć, szczęście może się uśmiechnąć także do niej.

— Skargi, senatorze, moje skargi... Pan może myśleć, że chcę się do nich posunąć; och! nie, jest jeden rodzaj zniewagi, na jaką kobieta nigdy nie powinna się uskarżać... nie mogłaby tego uczynić sama się nie poniżając, a wyznania, przy których byłaby zmuszona czerwienić się, przyniosłyby jej więcej wstydu niż zamesta zadowolenia i zadośćuczynienia. Otwórz mi, senatorze, otwórz, i licz na mą dyskrekcję.

— Ernestyno, wychodzisz wolna... — powtarzam ci — twój los jest w twoich rękach.

— Wiem o tym — odpowiada dumnie Ernestyna.

— Jakaż nieroztropność — wykrzykuje pani Scholtz. — Och! hrabio, nigdy nie zgodziłabym się dzielić z tobą zbrodni, jeśli bym wiedziała, że jest w tobie tyle słabości.

— Ernestyna nie zdradzi nas — mówi hrabia — ona wie, że jeszcze ją kocham... wie, że ceną jej milczenia może być małżeństwo.

— Ach! nie obawiaj się niczego, nie obawiaj się — mówi Ernestyna wsiadając do oczekiwanego powozu — nazbyt chcę ratować swój honor, aby ponieść się tak niekczennym sposobem... Będziesz zadowolony z tego, co uczynię, hrabio, a pozwolił to nam obojgu zachować honor. Zegnaj.

Ernestyna wraca do siebie... wraca przejeżdżając przez plac, na którym został stracony jej ukochany, mijając tłum, który syłił oczy tym okrutnym spektaklem; podtrzymuje ją odwaga, postanowienia dają jej siłę, dojeżdża. Ojciec jej wraca w tej samej chwili; perfidny Oxtiern postarzał się, by zatrzymano go na czas potrzebny dla dokonania zbrodni... Widzi córkę z włosami w nieładzie, błąd, zrozpaczoną, lecz jej oczy są suche, postawa dumna a słowa zdecydowane.

— Zamknij drzwi ojcie, mam ci coś do powiedzenia.

— Córko, przerażasz mnie... co się stało? Wychodziłaś podczas mej nieobecności... Mówi się o straceniu młodego człowieka z Nordkopingu... Zmartwiłem się... zaniepokoiłem, wytłumacz się... jestem zrozpaczony.

— Słuchaj mnie, ojczyste, powstrzymaj lzy...

— I rzucając się w ramiona pułkownika: — urodziłam się, aby być szczęśliwą, ojczyste; ale są istoty, które natura stworzyła po to tylko, by pozwolić im plawić się w nieszczęściu, tylko kilka chwil mogą istnieć na ziemi, wszyscy nie powinni rościć pretensji do takiej samej porcji szczęśliwości, trzeba się poddać woli Boga; pozostaje ci przynajmniej córka, pociesz się tą starością, bądźcie w niej podporą... Nieszczęśliwy młody człowiek z Nordkopingu, o którym słyszałeś, to Herman, stracono go na szafocie, na mych oczach... tak, ojczyste, na mych oczach... Chciano bym to widziała... widziałam... stał się ofiarą zadróżci pani Scholtz i szaleństwa Oxtierna... To nie wszystko, ojczyste, chciałam cię powiadomić nie tylko o straceniu mego ukochanego, ale i o czymś jeszcze bardziej okrutnym... Córka twa została cizwrociona pohabiona... Oxtiern... podczas gdy poświęcano jedną z jego ofiar... zbrodniarz znieślił drugą.

Sanders wstając z wściekłością.

— Dość tego — mówi — znam swój obowiązek; syn dzielnego przyjaciela Karola XII nie potrzebuje pouczeń jak należy zemdlić na zdrójcy. Za godzinę, albo ja będę martwy, córko, albo ty zostaniesz pomszczona.

— Nie, ojczyste, nie — mówi Ernestyna nie pozwalając wyjść pułkownikowi — żądam, w imię wszystkiego, co może ci być najdroższe, byś nie przedsiębrał sam tej zemsty; czy pomyślałeś jak okropny czekałby mnie los, gdybym miała nieszczęście cię utracić? Zostać sama bez oparcia... w perfidnych rękach tych potworów, czy sądzisz, że nie poświęciłby mnie wnet?... Zły zatem dla mnie ojczyste, dla twej drogiej córki, która w nadmiarze bólu, nie ma nikogo prócz ciebie do pomocy i ku pocieszeniu... do otarcia łez ma tylko twoje ręce... Posłuchaj mego planu; chodź w nim o nieznaczne poświęcenie które stanie się być może nawet zbędne, jeśli mój kuzyn Sindersen ma szlachetne serce. Obawa, by ciotka nas nie preferowała w testamentie jest jedynym powodem, który ochładza stosunki pomiędzy nami a nami; rozwiń jego obawy, podpisz mu całkowite zrzeczenie się spuścizny, zainteresuj go mą sprawą; on jest młody, odważny... jest żołnierzem jak ty, pójdzie odszukać Oxtierna, zmyle mą zniewagę krwią tego zdrójcy tak jak należy, byśmy zostali pomszczeni; jeśli ulegnie, ojczyste, nie będę już powstrzymywał twego ramienia; sam pójdzie szukać senatora. I pomścisz jednocześnie honor córki i śmierć kuzyna; w ten sposób zbrodniarz, który mnie oszukał, będzie miał dwóch wrogów zamiast jednego, czy moglibyśmy bardziej ich pomnożyć?

— Córko, Sindersen jest zbyt młody dla takiego wroga jak Oxtiern.

Przekład:
BOGDAN BANASIAK
C.D.N.

Tomasz W. z wyróżnieniem skończył studia chemii spożywczej. Państwowa posada w laboratorium, którą mu zaproponowała, wcale go nie nęciła. Któregoś dnia, wypocząwszy z orzeszkami, zaczął zająć się w naszym klimacie nic takiego nie rośnie. I nagle owalny, nerkowaty kształt zaczął mu się kojarzyć z czymś dobrze znanym. Z fasolą!

Kilogram fasoli kosztuje około 150 zł, a kilogram orzeszków — pięćdziesiąt — czterdzieści. Zaczął się zastanawiać. Ziarno fasoli trzeba by pozabawić koszułki, trzeba by nasączyć je tłuszczem, zmienić smak, posolić...

Tomasz W. spędził noc nie jak dotąd na uciechach, ale na rozmyśleniach. Do rana nawet nie zmrugał oka, usiłując odgrzebać w pamięci wiedzę zdobytą na studiach, która mogła dać odpowiedź na pytania i wątpliwości, a także urealnić wizję opędzawki wytłuszczonej, z fasolowymi orzeszkami. Zmęczony bezsennością, był jednak pełen zapału. Teoretycznie pomysł można było zrealizować. Na początek musiał jednak zainwestować. Na szczęście miał pieniądze na książeczce. Z samego rana pojechał do Gdańska i dał do „Dziennika Bałtyckiego” ogłoszenie tej treści: „Automat do prażenia kukurydzy pilnie kupie. Oferty...”

Wrócił z Gdańska, pobrał gotówkę i przez kilka następnych dni śledził po bibliotekach ulicując — na razie teoretycznie — opracować zadawalającą, a przy tym oszczędną technologię przemienającą fasolę w fistaszki. Zdawał sobie sprawę, że jeśli nawet uda mu się przedstawić na Wybrzeżu przedsięwzięcie, pozostanie jeszcze problem obierania wielkich ilości ziarna, pozostanie kwestia, wiedział, że służą do tego specjalne maszyny, ale po pierwsze ich cena mogła być zbyt wysoka, a po drugie gdzie je kupić?

Po tygodniu pojechał do Gdańska. W biurze ogłoszeń czekała odpowiedź. Cena była wysoka, ale nie miał wyboru. Zainstalował maszynę w kuchni, zdobył potrzebne składniki, m. in. sól, tłuszcz, barwniki i — budząc oczywiście zrozumiałe zdziwienie — kupił w pobliskim sklepie 100 kilogramów fasoli. Pierwsze próby nie dały obiecujących rezultatów: prażona i nasycana tłuszczem fasola za nic nie przypominała orzeszków ziemnych. Kształtem, kolorem, twardością — owszem, ale ten smak!... Solenie pomagało, ale mimo to nawet niezbyt wyrobiony smakosz mógł zauważyć różnicę.

Metodą prób i błędów, a także kosztem kilkunastu kilogramów fasoli i błędów dodatków, Tomasz W. po tygodniu eksperymentowania opracował wreszcie sposób na fasolowe fistaszki.



Pod prąd

Hasło na dziś

Ostatnio od czasu do czasu władze centralne straszą nas (głównie za pośrednictwem środków masowego przekazu) mówiąc, iż stan sanitarny naszego kraju pozostawia wiele do życzenia i problem wreszcie zająć się tym powołaniem kompleksowo. Ilekroć słyszę te słowa lub podobne im eufemizmy, ogarnia mnie przerażenie i to z kilku powodów naraz.

Przed wszystkim zastanawiam się głęboko, jak to możliwe, że na świecie mamy już drugą połowę lat osiemdziesiątych XX wieku, a u nas ni ślad ni zowąd pojawia się — nazwijmy rzecz po imieniu — brud? W Dolinie Krzemowej produkują się różne układy scalone, mikroprocesory i inne cuda w takiej czystości, że kurz nie widać nawet pod mikroskopem, a u nas pod mikroskopem — nawet mikroskopowy są dziś zakurzone. Fatum jakiegoś, czy co? Pewien mój znajomy wysunął niedawno śmiało przypuszczenie, że jest to niechybnie kolejny skutek kryzysu, w jaki nas podstępnie wpakowały wrogie siły, bo przecież w dekadzie dobrobytu, a i wcześniej brudu w Polsce wcale nie było. I zdaje mi się, że chyba ma rację, gdyż inaczej coś jednak byśmy wcześniej już wiedzieli. Nasza niezastąpiona telewizja z pewnością była nas powiadomiła, no nie?

Przeróża mnie też owa zapowiedź kompleksowego zajęcia się sprawą. Oznacza to bowiem — jak znam życie — że wkrótce powołana zostanie jakaś kolejna inspekcja, czy inne ciało kontrolne, które wypowie zdecydowaną walkę wszelkim przedmiotom jakże szkodliwym społecznie zjawiską jakim jest brak porządku i czystości, czyli mówiąc wprost — brud. Oczywiście pojawienie się grup kontrolnych natychmiast uzdrowi sytuację i oczyści atmosferę, ale kto wejdzie w ich skład? Z kręgu mojej rodziny na przykład do dyspozycji jest jeszcze tylko dziadek-emeryt, weteran pierwszej wojny i dwoje przedszkolaków po siostrzeńcu, gdyż wszyscy pozostali kontrolują się już nawzajem w rozmaitych dziedzinach i na ważnych odcinkach o czym zresztą szeroko i wyczerpująco informuje prasa. Szczerze mówiąc nie wiem prosta.

Nie mniej ważne wydaje mi się pytanie, kto usunie z naszych pięknych ulic i uliczek te wielkie i uliczne pojemniki na śmieci, których nie sposób ani wyczerzyć do istniejących już śmietników, ani szczerze zakryć, skoro większość dozorców — pardon, gospodarzy domów — i pracowników Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania tak aktywnie działa na niwie kontroli, nie dosypiając przy tym i nie dojadając, że o innych czynnościach już nie wspomnę? Obarczanie ich jeszcze jednym obowiązkiem byłoby przecież przesadą i niegodziwością.

Poza tym trudno mi sobie wyobrazić, co stanie się, gdy zamknięty — choćby na czas określony — wszystkie te szpitale, gdzie za dnia w korytarzach spacerują chorzy, a nocą — karaluchy, te akademiki, w których więcej jest prusaków niż studentów, te stołówki, sklepy, bary... Albo — czym będzie dzień na żelazne szlaki nie wyjadą wszystkie brudne wagony pierwszej i drugiej klasy? Dokąd udamy się na weekend po wydaniu zakazu wstępu do wszystkich zamkniętych lasów? No i co będziemy mieć po wyłączeniu pomp wlatujących w nasze wodociągowe zanieczyszczonych rzeki oraz jezior? Już na samą myśl o tym zasycha mi w gardle.

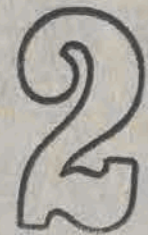
Dlatego też oświadczam publicznie, że jestem zdecydowanie przeciwny kompleksowemu zajmowaniu się poprawą stanu sanitarnego naszego kraju, ponieważ niechybnie spalizuje

to w nim życie. Protestuję przeciwko zwiększeniu produkcji papieru toaletowego oraz regularnym dostawom proszków do prania do sklepów, gdyż nasz przemysł i handel i tak już ledwo ziemia i nie można wymagać od nich zbyt dużo. Jest tak, jak jest, czyli lepiej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Zresztą przypomnę, że próby kompleksowego uporządkowania produkcji papierów wartościowych w Polsce były ostatnio niejednokrotnie już podejmowane i fakt ten powinien być dla nas sygnałem, że na razie na więcej nas po prostu nie stać. Trudno, jednych papierów wartościowych wciąż będzie trochę za dużo, innych trochę za mało, ale bilans... Bilans mamy już wszak w przybliżeniu prawidłowy. I to się liczy!

Nie życzę też sobie kategorycznie sprzątnięcia klatek schodowych w blokach, zbierania papierków w parkach przez szkolną dżiawę, tudzież zagładania obywateli w uszy i pod powłokiem. Rodacy — tu odwołuję się do naszych najwyższych wartości! — możemy być brudni, ale z godnością i honorem. Wszystko ma swoje granice. Nie działajmy więc na własną szkodę.

Aha, i jeszcze jedno — już starożytni powiadali: mądrzy ludzie żyją w brudzie. I to hasło powinno nam dziś przyświecać. Co prawda są kraje, gdzie uważa się je za kontrolerskie, jednakże dla nas jest ono w sam raz. Nie zdajmy zatem zbyt wiele. Nie wstydzimy się tego — nawet gdy jedynym ogarnia niedroga zadróża, a drugich — przerażenie, nie widzę.

JÓZEF RETMAN



Nagle zastępstwo

Sabotaż w ADM-ie!

Pożytki płynące ze słuchania radia są wielorakie. Mnie na przykład słuchanie radia dobrze robi na apetyt, osłabia poranną porę, przy śniadaniu. Choć różnie bywa — czasem się człowiek zakrztusi serem trapiastym albo i gorącym mlekiem zachyśnie, kiedy usłyszy, co się to na tym najpiękniejszym ze światów wyprawia. Ot, przykład pierwszy z brzegu. Słucham jak sobie informację porannego dyżurnego reportera programu trzeciego, około godziny siódmej czterdzięci piątą (go ludzki: za kwadrans ósma). Tak, tak, proszę drodzy czytelnicy, już przed ósmą! Wasz felietonista i sługa unioży nie wyległ się do jedenastej, jak nie przemyślając moja sąsiadka z tej kolumny, niejaka Malaga, autorka wstrząsającego esaju o omoktaniu (w przyciętym omoctnie rozprawę o pluciu na podłogę i noszeniu brudnych gaci oraz innych równie koszmarnych przywarach obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, które to przywary hamują postęp cywilizacyjny i społeczny).

Wracamy do rzeczy. Kęs chleba z uspołecznionej piekarni stanął mi w gardle onego dnia nie z powodu kiepskiej jakości owego wypieku, jeno ze zgrozy! Otóż zatelefonowała do rozgłośni obywatelka, która otrzymała od administracji domu pismo tej treści: W dniu... odbędzie się przegląd techniczny mieszkań. Obecność lokatorów obowiązkowa w godzinach 10-15. Telefonująca pani miała wątpliwości, czy organ skądinąd poważny i cieszący się zaufaniem i szacunkiem społeczeństwa (!) ma uprawnienia do używania zwrotu „Obecność obowiązkowa”? Dziennikarstwo natomiast, który telefon odebrał, wyjaśnił, że zawiadomienie to ma charakter czysto formalny, zwalniający urzędników od dokonywania przeglądu mieszkań; nie będzie lokatorów, nie będzie przeglądu i koniec! A ja widzę w tym jednocznie —

bożę mianowicie widzę! Gospodarczy sabotaż! Cóż bo wioder robi wysoka administracja (wszystko jedno czy spółdzielczy czy komunalny)? Wysoka administracja nawołuje kilkudziesięciu ludzi — a może nawet kilkuset? — do tego, aby określonego dnia nie poszli do pracy. Żeby skombinowali lipne L-4, żeby się urwali, żeby zwagarowali. Zeby w tym feralnym dniu nie pracowali jak Bóg i Kodeks Pracy przykazał, tylko żeby siedzieli w domu i czekali na wysoką komisję od przeglądu mieszkań! Żeby tego dnia nie wyprodukowali ilus tam matroz tkanin, nie położyli ilus tam cegieł, nie przyjeźli ilus tam pacjentów, nie uczyli ilus tam dzieci! Jednym słowem, żeby nie przyczyniali się do ogólnego rozwoju kraju, a przeciwnie — obniżali i tak niską społecznie wydajność pracy, pogłębiali inflację i oddalali dzień, w którym spłacimy zagraniczne długi co do centa!

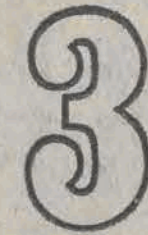
Do kogo ja kieruję te słowa? Nie do Was, szanowni Czytelnicy, szarzy ludzie, różnymi komendami najprzeróżniejszymi mniejsze czy większe administracje, co to Was wzywają przy pomocy piśemek z tekstem „Obecność obowiązkowa”. Ja te słowa kieruję wprost do obywatela prokuratora! Tak, tak, nawołuję do sabotażu jest ciężkim przestępstwem i podlega ściganiu przez odpowiednie organy oraz karze, bezkarności wymierzanej przez inne organy. Nie po to skutecznie wymienione organa likwidują podmiemie, żeby nam dywersja i sabotaż kwitły, w państwowych — bądź co bądź — organach typu Wysoka Administracja Domów Mieszkalnych!

Leźwie przelknęłam pechowy kęs chleba, a już zakrztusiłam się następnym: Oto do dyżurnego reportera zatelefonowała studentka, która sobie urodziła dziecko. Sobie a nie państwu czy społeczeństwu! Studentka owa utraciła stypendium motywacyjne i jeszcze jakiś dodatek, teraz z dzieckiem nowo narodzonego znajdują się w uboższym godnym położeniu, albowiem na utrzymaniu niezamożnego męża.

A dlaczego ja się udlawilem? Bo zawsze myślałem, że ludzie wykształceni (ostatni rok studiów) biorą mniej więcej świadomie odpowiedzialność za swoje życie i co tracą, kiedy się na ich posiadanie decydują. A okazuje się, że nie! Studentka się domaga, żeby jej nadal wypłać stypendium motywacyjne... Do czego potrzebuje motywacji? Do tego co pan wiesz a ja rozumiem, a od czego się rodzą dzieci...

Swiał chylił się ku upadkowi. Za moich czasów zwłoków się uczył bez żadnego „motywacyjnego” pieniądza. A te wiadomości rozrywki męsko-damskie też bez żadnej finansowej zachęty młodzię wykonywała w czynie społecznym... Ostatnio nie słucham trójki przy śniadaniu. Puszczam sobie muzykę z adaptera, przy najmniej nikt z nich nie mówi...

ANDRZEJ KAROL



Sport

Dinozaury w cenie

Po spotkaniu Dinozaurów Mocnego Uderzenia w Sopocie spotkały się Dinozaury Lekkoatletyki — mistrzowie slynego niedyś, a dziś już legendarnego Wunderteamu. Cóż to by ten Wunderteam? Był to — najogólniej mówiąc — lekkoatletyczny zespół wspaniałych zawodników występujących w latach 1956-1966. A więc przez całe dziesięciolecie. Dinozaury Lekkoatletyki spotkały się w własny koszt. Powspominano, pobawiono się — to można było obejrzeć też w te-

lewizji — rozlecano się. Pozostała tylko idea powołania Klubu Wunderteamu, gdyż jak to słusznie zauważył jeden z jego twórców, Jan Mula: — „Wunderteamowy to bardzo są oddaleni od dzisiejszej rzeczywistości sportowej” — a w Klubie być może do takiej rzeczywistości zbliżyliby się. Ale to przysiężność...

W lekkiej atletyce mamy więc wspaniałą przeszłość, która stała się już legendą. Jej bohaterowie jeszcze żyją, ale z teraźniejszością lekkiej atletyki mało mają wspólnego. A tymczasem jest ona bardzo zła. Po klęsce na mistrzostwach Europy w Stuttgarcie posypały się dymisje, nastąpiły zmiany. Okazało się, że „królowa sportu” jest — przemasz za wyrażenie — gola, biedna, brudna i do dadek... zdemoralizowana. Dobrze, że jeszcze nie popadła w narkomanie, bo to byłby już koniec. Ale wszystko jest możliwe na tym świecie, bo dziś również mamy i arystokrację mało się szanującą.

Polskim Związkiem Lekkiej Atletyki dowodzi Leszek Wysocki. Odszedł budować metro, może mu się tam lepiej powiodzie. Jego miejsce tymczasowo zajął Mieczysław Kolejwa. Na to miejsce kandydowała Irena Szewińska, ale przegrała, co jej niewydę, na bleźniach się nie zdarzało. Bieg przez burka, za którymi metą jest nawet z przeszkodami. Tu liczą się zupełnie inne kwalifikacje. Poza tym polska lekka atletyka oczekuje na cudotwórcę, który ją uzdrowi. Czy Irena Szewińska ma kwalifikacje na cudotwórcę?

Co stało się z polską lekką atletyką? Nastąpił jej upadek. Dlaczego? Odpowiedz na to nie jest taka prosta. Jedni bowiem mówią, że winę za to ponoszą działacze PZLA, którzy doprowadzili do tego, że trenerzy lekkiej atletyki pracują za darmo, a trenerzy drużyn piłkarskich w lidze biorą miesięcznie i 180 tysięcy złotych. Któż będzie w takich warunkach mógł się zajmować lekką atletyką?

Albo można spotkać odmiennie zdania. Na przykład takie, że zaniedbano pracę w klubach, polikwidowano tam sekcje lekkiej atletyki, stworzono wyłącznie „stajnię PZLA”, która swoim twórcom służyła do tworzenia tamy na rzecze pieniędzy płynących z zachodniej Europy, pieniądze o dość powszechnie znanym źródle. Proszę mi darować tę pokretność stylu, ale jakoś nikt tego nie nazywa dolarami, więc i ja muszę użalać, że nie wiem o co chodzi.

Opowiada się jeszcze gorsze rzeczy. Tu muszę powołać się na źródło, a nawet wręcz podeprzeć się cytatem, bo taka to Sodom i Gomora, że aż strach. Otóż były szef wyszkolenia PZLA, Tomasz Boraczynski wykrzycał ponoć publicznie o różnych „sodomach i gomorach” a teraz wszystko to powtórzył w piśmie na łamach „Sportu” Jacek Zegadio. Napisał: „Mówił bez ogródek o demoralizacji, komercjalizacji, krzyżach o alkoholowych libacjach, seks-zabawach, rui i porobstwie”. I zaraz przesiadł się z szefem wyszkolenia w PZLA. Chciał widać postawić tamę na tej rzecze pieniędzy o zielonej barwie. Chodziło mu nie o tyle o dolary, co o polską lekką atletykę. Widać jakiś niezbyt rozgarnięty facet, kto się dziś martwi polską lekką atletyką? Wystarczy powspominać, że kiedyś byliśmy potęgą. I machnąć ręką na teraźniejszość? Są jednak ludzie, którzy nie chcą ani tylko wspominać, ani tylko machać ręką. Tym ludziom warto pomóc.

A na marginesie donoszę, że Teresa Wierczok-Ciepiela, wspomnianą dawniej, powiedziała: „Po każdym zawodach odbywał się huczny bankiet, podczas którego tańczyliśmy do upadłego...”. I proszę, nie było demoralizacji, komercjalizacji i seks-zabaw. Zupełnie inne czasy. Dziwne jakież.

BOGDA MADEJ

Cudotwórca

Pilotowa partia dwóch przynajmniej zadowolonych najwybredniejszych podniebienia, tak przynajmniej twierdził autor pomysł. Można było poczynić pierwsze próby sprzedaży, ale pojawił się jak nowy, istotny problem: opakowanie. Skąd zdobyć papier i jak zrobić na nich odpowiedni nadruk? Na szczęście podczas wędrowki przez miasto Tomasz W. natknął się na niewielki kiosk kupna-sprzedaży i za szybką dostarczoną celofanową torebkę z orzeszkami. Towar pochodził z NRD, kosztował tam 2 marki, podczas gdy w kiosku kosztował 400 złotych (za 125-gramową paczuszkę). Tomasz W. kupił więc torebkę orzeszków, by mieć wzór opakowania. Teraz pozostawało tylko zdobyć celofanu i wydrukowanie odpowiedniego napisu.

Jeśli chodzi o celofan — nie miał trudności. Kupił go od koleżanki ze studiów, która prowadziła kwaciarnię. Gorzej było z napisem. Ale i na to znalazł się sposób. Tomasz W. wszedł bowiem w układ z pracownikiem drukarni, który podjął się wykonania etykiety. Na początek tysiąc torebek, później w razie potrzeby mocna drukowana następne. Tomasz W. mógł teraz zapakować 125 kg. Jeżeliby sprzedał paczkę po 400 złotych, utarg wyniósłby 400 tysięcy. Ale Tomasz W. zdawał sobie sprawę, że aby szybko upłynąć towar, należy obniżyć cenę. 250 złotych zupełnie wystarczy.

Tomasz W. z początku chciał odwiedzić kioski kupna-sprzedaży, sprzedając „orzeszki” po 250 zł, ale bał się, że w razie nieprzewidzianej wpadki rychło trafił na jego ślad. Ryzyko wykrycia oszustwa było minimalne, torebki z niemieckim nadrukiem zawierały niczym nie różniące się od prawdziwych arachidów ziarna solonej fasoli, ale nasunął mu się inny pomysł, będący zarazem najmniej ryzykowną sondą, jak oszukane orzeszki przetrzymają się na krajowym rynku.

Zabrał więc z sobą pięć wypchanych waliz, kupił bilety i pojechał pociągami do Zgorzelca. W Zgorzelcu natomist wsiadł i pobiegł wracający z Lipska. Wiedział bowiem, że różni „turyści” i robotnicy zatrudnieni na zagranicznych umowach dodatkowym zyskiem nie pogardzą.

Zaczął obchodzić ostatniego wagonu. Przycupnął wraz z walizkami w jednym z przedziałów i przysłuchiwał się rozmowie trójki mężczyzn o tym, co udało im się przemycić. Wreszcie włączył się do rozmowy.

— A czy chcielibyście, panowie, kupić trochę solonych fistaszków? Udało mi się przemycić większą ilość.
— Po ile? — zapytał rzeczowo jeden z podróżnych.
— Po 250 złotych za paczkę. W kupnie-sprzedaży stoją po cztery stowy.

— A dlaczego pan sam nie chce tego zanieść?
— Za dużo ich. Mieszkam na wsi, nie chce mi się tego wozić po różnych targach i dyskusji potrzebuję teraz pieniędzy.

Bez zbędnych targów i dyskusji Tomasz W. pozbliżył się do walki jednej z walizek. Sytuacja taka powtarzała się jeszcze kilkakrotnie, niemniej jednak cały towar udało mu się upłynić. Jeden z kontrahentów — podejrzewając być może jakiego oszustwa — nie tylko długo oglądał paczuszkę, ale nawet otworzył jedną i spróbował ją smakują zawartość. Po czym kupił.

Przez kilka tygodni Tomasz W. zwlekał z produkcją nowej partii orzeszków, czekał na ewentualne odgłosy „fistaszkowej afery”, ale na próżno, widocznie nikt nie wykrył przestępstwa. Doszedł więc do wniosku, że może działać bezkarnie; zamówił kolejną serię opakowań i rozpoczął produkcję.

Aby obniżyć koszty, kupował fasolę i na najtańszej jakości na wsi, od gospodarza. Gotowy produkt upłynął już po 300 złotych w sklepikach z artykułami pochodzenia zagranicznego.

Zyski rosły, choć czas upływał. Podstawowy, trzymiesięczny okres przerwy w zatrudnieniu dobiegł końca. Tomasz W. podjął pracę, ale na dobrą sprawę głównym źródłem dochodu była nadal produkcja orzeszków z fasoli. Zatrudnił w swym interesie — który rozrosł się i oprócz kuchni zajął pokój — kobietę do huskania i wstępnej obróbki fasoli. Oczywiście nie wyjaśnił, jaki ma być cel tej dziwacznej pracy, ale płacił dobrze.

W krótkim czasie Tomasz W. dorobił się „Gólfą”, zaczął stołować się po restauracjach i często podróżować po kraju i zagranicę. I chociaż zaczął gustować w różnorodnych przysmakach (szczególnie upodobał sobie kuchnię francuską oraz chińską) nikt nie widział, by kiedykolwiek jadł francuski zlema, choć nieraz go nimi częstowano... Ciekawym, jak długo będzie szedł ten „interes”?

JERZY GRUSZKA

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(24)

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

...Najwyższy czas zabawić się w krzyżki. Albo w tak zwane straty bezpowrotne.

Zabawmy się w krzyżki, co? Ludzie, nie macie pojęcia, ilu z was jest już krzyżkami. W moim dzisiaj wszyscy jesteście krzyżkami. Zabawmy się w krzyżki, co?

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do czterdziestej ósmej sekundy po godzinie „G”.



5 kilometrów od punktu „0”. Powietrze przestało wyphywać z pekniętych przewodów i ucielił zimny wiatr dmący przez hałę na poziomie trzecim pod hangarem F, który już nie istniał. Cat, z zakręconym zaworem wodociągu mózgu, oparty plecami o butle, spoczywał martwy na betonowej posadzce komory...

...a po drugiej stronie tunelu aerodynamicznego kulki się William Frankley. Odciskając go ciemność rzędła rozpraszana rdzawym braskiem wpadającym tutaj przez szczeliny i szpary w ścianach zdemolowanych sztybów obu wind. W głowie Frankleya nadal pracował nadajnik zagłuszający, ale poprzez wysyłanie z tego nadajnika brząskiem wpadającym do ciemności, poprzez cichnący w oddali łoskot, — coraz śmiejiej przedzielały się znajome słowa o kabalistycznym znaczeniu, szeptane głosem Olie. „Wkrótce się spotkamy, kochanie”. A może była to refleksja zrodzona w jego własnym umyśle.

Z tyłu za nim rozciągnęły na brzuchu Gary powoli oblizwał górną wargę. Patrzył na świetlisty trap łączący jego łódź z Przystankiem Królestwa Niebieskiego i szukał wzrokiem poręczy, której mógłby się uchwycić w trakcie wspinaczki pod górę. Ustało drżenie i żądna fala nie kołysała już pokładem; Gary z uznaniem stwierdził, że ustał również wiatr.

— No, dobra — skomentował to po swojemu. — Ale w przyszłości uważajcie na przeciagi, jak otwieracie bramę tam u siebie.

Potem przez chwilę nadstuchniwał odpowiedzi, ureszcie nieporadnie dźwignął się na rękach i ukiłk.

— No, dobra — rzekł. — Tylko bez głupich sztuczek. Nawet tam na górze nie wiedzieli, co chciał przez to powiedzieć.



11 kilometrów od punktu „0”. I zanim minął ten moment krótki jak ciekniecie, kafeteria przemieniła się w turecką łazienkę. Podmuch poderwał ludzi z ziemi, zdarł z nich odzież i cisnął nagich na mozaikową podłogę, rażąc gradem odłamków szkła, plastyku i roztrzaskanego sprzętu, wzbijając w powietrze zawieszony pyłu, sadzy, pary wodnej i drobnych kropelek alkoholu. W schronie, w którym jeszcze przed paroma sekundami rozbrzmiewały wrzaski, piski, pojedyncze frazy wokalizy, zaległa cisza mącona jedynie bulgoczącym charczeniem i anemicznym marmuganiem jęków. Rebbi leżała w kałuży whisky, tuż przy tym sympatycznym i życzliwym człowieku...

† Ten sympatyczny i życzliwy młody człowiek.

...na pół przytomna i bez uczucia; nie czuła nawet tego, że zaczęła się poród. Pobliska sala porodowa płonęła razem z personelem...

† Personel pobliskiej sali porodowej.

(no i skoro o tym mowa, to także):

† Zona tego sympatycznego i życzliwego młodego człowieka.

† Piód, którego głowa wzięła między nogami żony tego sympatycznego i życzliwego człowieka.

...a ci ludzie wokół sami spobili się do powtórnego narodzin, więc położenie jej byłoby doprawdy nad wyraz krytyczne, gdyby nie Atomowa Akuszerka. Za jednym zamachem obalita ona Rebbi na grzbiet, zdarła z niej majtki, oczyściła drogi rodne i rozewała pęcherz płodowy, pobudzając macicę do skurczów.

I dopiero teraz nad tym schronem, nad całą tą dzielnicą załamał się strop podtrzymujący Królestwo Boże. Grzmot — jakby to moce piekielne skruszyły pieczęcie nałożone na księgę Jana Ewangelisty — ustrząsnął niebem i ziemią. Usłyszeli go wszyscy żywi w okolicy, mimo że podmuch uszkodził błony bębenkowe i błędniki kostne w ich uszach. A po grzmocie tym nastąpiły gromoty dalsze.

Z gardła Rebbi Courgan wydobył się słaby, chrapliwy krzyk. Ale nie był to krzyk świadomy. Zdarza się, że procesy gnilne zachodzące we wnętrzu trupa wytwarzają znaczne ilości gazów, które uchodzą przez naturalne otwory ciała. Jeśli jest to otwór dolny, trup dygocząc popierdaje, jeśli górny — wydaje on z siebie protestacyjny krzyk. Rebbi nie była jeszcze trupem, niemniej krzyk jej miał znamiona krzyku trupiego. Fala uderzeniowa wtoczyła w nią więcej powietrza niż zdołały pomieścić płuca i teraz powietrze to, ponaglone skurczami macicy oraz przepony, wydostało się z niej buntowniczo, uprawiając w obrębie struny głosowe.

Dokładnie w tym samym czasie Michael Tomashek... Och, nie ma już Michaela Tomaszka.

Był Michael Tomashek, nie ma Michaela Tomaszka. Chociaż nie, coś jednak z niego zostało. Kawalek jego kości miedniczej podał na czele frontu Macha, pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie.

† Michael Tomashek Skoro jesteśmy przy tej odległości, to także:

† Ronnie — do niedawna kochanek Lucy

A jeśli on, to przy okazji:

† Connie — do niedawna kochanka Ronniego

No i oczywiście

† Dziesiątki tysięcy mieszkańców tej dzielnicy



17 kilometrów od punktu „0”.

Oni przecież są martwi — pomyślał Adam o tych nagich i łysych ptywakach nad nim, pod nim i obok niego. Były wśród nich te oto osoby:

† Derrick Danube

† Ta nadtopiona kobieta

† Pan Jarvis

† Sophy

Adam nie mógł jednak wiedzieć, że martwi są już — lub w ciągu najbliższych sekund martwi będą także — pozostali goście klubu „Enklawa przyrody”, czyli:

† Linda Tossey

† Richard Copperman — cholerny wymoczek

† Te dwie nieznanome dziewczyny w jednakowych kostiumach i w słomkowych kapeluszkach

† Bass

† Ezra

† Pani Jarvis

† Obie córki Cyrusa Folsoma

† Pani Klein

† Hal Hennessy — finansowy doradca pani Klein

† Itd.

Przebywając w zanurzeniu, będąc rekinem ludojadem (w tej skali nie większym niż pirania) hodowanym w akwa-

rium przez obywateli miasta Lorbrulgrad, Adam nie mógł też wiedzieć, że sponęły już — lub w ciągu najbliższych sekund sponą — znajdujące się na terenie klubu leżaki, dmuchane materace, płaszcze kąpielowe, ręczniki, okulary przeciwsłoneczne, kremy i olejki do opalania, wiklinowe krzesła o siedzeniach z płótna w zielone wodorosty, parasole ze stolikami, ławki, kabiny, zabudowania restauracyjne, bary, tarasy, ściany ze szkła chromowego, krzewy i obronione trawy kłomby i gazony. Adam nie mógł o tym wiedzieć, ale po chwili się dowie.

Chwila ta właśnie minęła. Chwila ta minęła i przyszła chwila następna. A następna ta chwila przyniosła tyle i tak spiętrzonych zdarzeń, że Adam nigdy nie zdola odwołać ich w pamięci, choć będzie do nich wracał przez lata. Tak, przez lata, bo on mimo wszystko przeżyje nuklearny konflikt. Nikt z pozostałych gości klubu „Enklawa przyrody” nie ocala.

Gdyby czas był elastyczny, gdyby dał się dowolnie rozciągać, wtedy Adam z pozoru jednocześnie te zdarzenia mógłby rozłożyć na poszczególne fazy i ujrzeć je w kolejności, w której zachodziły.

Niczym składany dach kabrioletu, sklepienie z ludzkich ciał nad nim zostało odsunięte na bok, jakby mały ciekawski synek właścicieli akwarium odgarnął je zuchwałą dłonią.

I jednocześnie: tamto słowieszcze światło mieniące się odcieniami czerwieni, mając obecnie wolny dostęp do głębin, ściemniało przewrotnie.

I jednocześnie: dobiegający zewsząd szum wzmożł się do ryku i huczącego dudnienia.

I jednocześnie: z wnętrza ziemi nadszedł gniewny pomruk, aż drżenie przeniknęło cały basen.

I jednocześnie: głęboka fala uzburzyła wodę, pchnęła jej masy do przodu i Adam wleciał w powietrze.

Przez dwie-trzy sekundy jego receptory odbierały bodźce, które chociaż w tym wypadku istotnie napłynęły z otoczenia jednocześnie, to nie pozwoliły się ująć w syntetyczne doznanie. Każdy ze zmysłów donosił Adamowi o zderzanych wrażeniach oddzielnie i niezależnie.

A o czym donosiły Adamowi zmysły? O tym:

1. Zmysł kinestetyczny — że jego ciało porusza się w przestrzeni ruchem jednostajnie opóźnionym, po krzywej parabolicznej.

2. Zmysł równowagi — że jego ciało przyjęło pozycję jeżdźca wyrzuconego ze strzemiem.

3. Zmysł temperatury — że powierzchnia jego ciała, z niejasnych powodów, może wskutek tarcia, rozgrzewa się jak spadający meteor.

4. Zmysł węchu — że do jego nozdrzy, gardła i płuc wtargnął ostry, duszący smród spalonego drewna, plastyku i lakieru, odor kopających szmat i tłącej gumi oraz trupi fetor zwęglonej skóry.

5. Zmysł smaku — że do ust wyspano mu szałkę zmieszaną z kurzym łajmem.

6. Zmysł słuchu — że to huczące dudnienie przeobraziło się w spotęgowany, przeciągły rumor.

7. Zmysł wzroku — że jego ciało wygarnięte podmuchem z basenu unosi się nad czarną, wypaloną pustynią, a wyjący wichry gna chmury dymu i sadzy, miota popiołem, porusza osmalone resztki, toczy buchające iskrami kadłuby samochodów i wlecząc pogięte szkielety budynków.

8. Zmysł dotyku — że jego ciało upadło właśnie na srodek kłomby, który Atomowa Ogrodniczka wcześniej starannie wypławiła i poddała działaniu piombi, przeprowadzając dezynfekcję, dezynsekcję i deratyzację, po czym ochłodziła wiatrem.

Upadek ten sprawił, że na tablicy rozdzielczej mózgu Adama rzeczywistość nastąpiło spiekanie. Przepaliły się bezpieczniki (na osmażenie zdolne do samoregeneracji) wszystkich zmysłów i chłopak stracił przytomność.

Zaden ze zmysłów — ani kinestetyczny, ani równowagi, ani temperatury, ani węchu, ani smaku, ani słuchu, ani wzroku, ani dotyku — nie donosił mu teraz, że jego ciało pchane

słabnącym wiatrem sunie w stronę dziury po wyrwanym fundamentie, do której wypadnie i w której niebawem się ocknie, by stwierdzić, że znów znajduje się w świecie — tym samym, ale jakże odmiennym.

Tymczasem fala uderzeniowa rozprzestrzeniając się kuliście z prędkością supersoniczną i pędząc przed siebie, wciąż pędząc przed siebie, przepadała za linią horyzontu.

26 kilometrów od punktu „0”. — Najważniejsze, że jesteśmy w schronie — powiedział ponownie pułkownik Dowd, nadal sapiąc po niedawnej walce z ogniem, którego omal nie padł ofiarą.

Powiedział to do siebie, by oszacować wartość tych słów, sprawdzić zwłaszcza, czy za słowem „schron” kryje się coś dostatecznie wytrzymałego, coś, co nie tylko samo ocala, ale także ocali ich obu. Nie, nie obu. Jest mało prawdopodobne, żeby człowiek, który przez pięć sekund stał z rękami wypiętymi do kuli ognistej, miał szansę wyliźnąć się z oparzeń.

Roztrząsając to w myślach gorączkowo i pośpiesznie, pułkownik Dowd podszedł do prądnic, uruchomił silnik spalinyowy i włączył agregat filtrów wentylacyjnych. Potem, zanim przekreślił kontakt elektryczny, zgasił latarkę i w ciemności jeszcze raz na próbę przemknął powieki. Znowu dostrzegł tę fioleto-czerwona jasność jutrzienki nieśmiato pulsująca gdzieś na krańcach pola widzenia. Pierwsze objawy... Zaraz ustąpił analogia powstrząsowa i podstępnie chwyci go ból — taki, że śmierć bez przesady będzie miłosiernym wybawieniem. Ale, rany baskie, jeszcze nie teraz!

Zapalił światło.

Kapralu — powiedział głosem podniesionym ponad hałas pracujących urządzeń i poczuł, że nabłonek na jego wargach pęka jak strąk grachu.

Mały Eddie pociągnął nosem. Poprzez wirujące mu przed oczyma tężowe koła, poprzez grubą szybę splukiwaną brudnym deszczem spoglądał na ten świat zawieszony do wnętrza schronu, obserwując go z niedowierzaniem i lękiem. Bo to, co się dotychczas wydarzyło, wcale — o jeny — nie przypomina zabawy. Wcale a wcale. Przecież dziadek przed chwilęczką wył i fajczył się na prawdę, zdarł z siebie bluzy, spodnie i w ogóle... „To nie jest żaden alarm — wcale — wcale”, powiedział, „to jest alarm prawdziwy”. No i ten ogień na dworze też był całkiem prawdziwy. Był czy nie był?

Kapitan wojsk lądowych Norman McLorren nie miał takich wątpliwości: działanie ognia czuł na własnej skórze. Będąc ciężko poszkodowaną Istotą Ludzką, kaszając, rżąc i płacząc, opatulony w płaszcze kąpielowy wyszedł przed dom. Czynnij przygotowania do kolejnej przemiany — w pielgrzymka o śmiertelnie nadwątlonym zdrowiu. Był tak zabsorbowany sobą, że nie zważał na swoich sąsiadów, ani na sąsiadów swoich sąsiadów, ani też na sąsiadów sąsiadów swoich sąsiadów, którzy tłumnie wylegli na ulice i z krzykiem i zawozeniem, wśród dymu, płomieni, rozpaczyliwych nawoływania i oznak obłędu miotali się jak demony rodem z piekła. Nie zważał na nich, chociaż jako wojskowy powinien być zainteresowany praktyczną wykładnią, ilustracją procesu „eliminowania sił i środków z pola walki”, „poczenia bezpowrotnych strat własnych”. Proces ten przebiegał na jego oczach nieustannie i obejmował rosnącą liczbę osób...

38 kilometrów od punktu „0”. — Przepuście mnie! Chcę stąd wyjść!

Część ludzi blokowała jej dostęp do drzwi, część uniemożliwiała jej odwrót. Lucy, kobieta atrakcyjna, niezależna, całkiem seksowna, z temperamentem i stosunkowo młoda — Plasku-plask! Plasku-plask! — wpadła w pułapkę. Niepotrzebnie dołączyła do kregu osób pływających w obrędnym tańcu w hallu na parterze i teraz musiała podporządkować swoje ruchy Plasku-plask! Plasku-plask! — bo inaczej mogłoby ją zadepnąć. Jej wąty dyszkant:

— Chcę stąd wyjść! — (Plasku-plask! Plasku-plask!) — Chcę stąd wyjść! — (Plasku-plask! Plasku-plask!) — mieszał się z wrzaskami tysego grubasa, który drępnął w kółko:

— Jaki wybuch? Co za wybuch? — (Szuru-szuru! Szuru-szuru!) — Tam, to znaczy gdzie? — (Szuru-szuru! Szuru-szuru!) — i z porykiwaniem mężczyzny ze stacji benzynowej, przypupującego skoczenie:

— Pali się! Uyahay! — (Tupu-tupu! Tupu-tupu!) — „ali się! Pali się! Uyahay! Uyahay! Ja się pale! Hay! Hay! Hay! Hay! — (Tupu-tupu! Tupu-tupu!) — i ginał w powszechnej urzawie.

Lucy stanowiąca wyborny przykład dostosowania się do kulturowo nowych warunków — Plasku-plask! Plasku-plask! — Była bez majtek i bez biustonosza, w samej tylko sukience, która — gdyby ją zdarzył od dołu i opuścił z góry — Plasku-plask! Plasku-plask! — mogłaby w tym toku ująć za przepaskę biodrową, a bose jej stopy zgrabnie i z niespodziewaną wprawą plaskaty w niestylizalny rytm płemiennych bębnow — Plasku-plask! Plasku-plask! Plasku-plasku-plasku-plasku-plask!

— Chcę stąd wyjść! — zapięczała znowu. — Chcę stąd wyjść!

Tak, tak, musi stąd wyjść natychmiast! Jacyś wyrodnialcy podpalili motel, wszędzie już widać ogień i ona — mój Boże! — zaraz zgorzeje w tym ogniu. Trujący dym pozbawi ją przytomności, upadnie jak przewrócony manekin i jej ciało strawią płomienie — jeśli nie wydosztanie się stąd natychmiast, więc musi i wydosztanie się, wydosztanie się, wydosztanie się, wydosztanie się!

— Przepuście mnie! Szałenie było jej śpieszno. I historyzowała jak zakochana nastolatka, którą rodzice zamknęli w domu, by nie poszła na randkę z kimś, kogo nie akceptują.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stan zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc